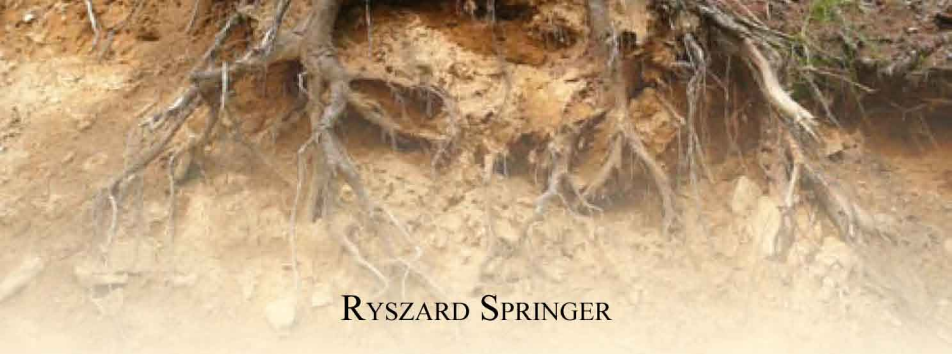




RYSZARD SPRINGER

GDZIE TWOJE KORZENIE



Na stronie wewnętrznej okładki

1. Fragment ściany pamięci na cmentarzu starym w Kielcach
2. Ściana pamięci przy kościele św. Anny w Nikiszowcu



GDZIE TWOJE KORZENIE

RYSZARD SPRINGER

GDZIE TWOJE KORZENIE



KATOWICE 2013

WYDAWNICTWO
eR. Springer

Copyright © 2013 by Ryszard Springer

Dystrybucja:
Ryszard Springer

Redakcja i korekta:
Barbara Kincer-Górnicka

Projekt okładki: Ryszard Springer
Wnętrze grobowca w Kałuszu

Zdjęcia:
Ryszard Springer

ISBN: 978-83-7593-209-6

Druk:
Drukarnia Archidiecezjalna w Katowicach

OD AUTORA

*„Tyle jesteśmy warci,
ile pamiętamy o naszych przodkach.*

www.moja-rumia.pl
Forum Portalu Moja-Rumia.pl

Historia narodu zawsze odnajduje swoje odbicie na cmentarzach. Losy Polaków zapisane są na największych nekropoliach powstałych na terenie lub w sąsiedztwie dużych ośrodków miejskich. Wśród nich jest najstarszy cmentarz stolicy, warszawskie Powązki, założone w 1790 roku. Ich krakowskim odpowiednikiem jest Cmentarz Rakowicki z początku XIX wieku. Wcześniej od nich powstały te, które obecnie znajdują się poza granicami naszego kraju. W 1786 roku – Cmentarz Łyczakowski we Lwowie, gdzie pochowano około 20 tysięcy znanych Polaków. Jest starszym nawet od paryskiego Père Lachaise. Wileński Cmentarz Na Rossie, oficjalnie uznany za miejsce pochówku w 1801 roku, przyjmował pierwszych zmarłych już w roku 1769.

Są również małe cmentarze znajdujące się w pobliżu niewielkich miasteczek czy wsi. Takie jak cmentarz w Kałuszu, położony, podobnie jak Łyczakowski, na malowniczym

wzgórzu. Te są najsilniej związane z życiem miejscowej społeczności. Mogiły zmarłych bliskich znajdują się niemalże w zasięgu wzroku, a pamięć o nich jest ciągle żywa.

Dzieje naszych przodków zapisane są także w innych miejscach – na polach bitew czy miejscach kaźni i męczeństwa. Tam często znajdują się symboliczne mogiły, niejednokrotnie bezimienne, niekiedy tylko pamiątkowe krzyże lub pomniki.

Drogi Czytelniku, oddaję w Twoje ręce niewielki pamiętnik dotyczący mojej rodziny. Są to okruciny wspomnień o najbliższych, które być może sprawią, iż także i Ty spojrzysz z ciekawością na losy swoich przodków. Właśnie ich dzieje są miejscem, z którego wyrastają Twoje korzenie. Historia naszych ojców spoczywa tam na cmentarzach, ale może odżyć w naszej pamięci.

Korzenie wielu z nas sięgają ziem utraczonych przez Polskę po 1945 roku. Bywa, że nawet księgi parafialne na tamtych terenach nie zachowały się do dzisiejszych czasów. Na szczęście można już dość swobodnie przekraczać granice, wybrać się na swoistą pielgrzymkę do miejsc w większości nam nieznanych, z którymi wiążą nas mogiły dziadów i pradziadów. Zadbanie o nie, a nawet przywiezienie ze sobą do kraju garści ziemi, nie pozwoli zaginąć pamięci o naszych przodkach, a w przyszłości o nas samych. Na wielu cmentarzach Ukra-

iny widoczne są już odrestaurowane pomniki i miejsca spoczynku ludzi, którzy nie tylko zapisali się na kartach naszej historii, ale po prostu pozostali w sercach swych potomnych. To wspaniałe przykłady dla młodego pokolenia dbałości o rodzinną pamięć i budowania szacunku dla przeszłości.

Moralnym obowiązkiem każdego człowieka, każdego pokolenia jest ochrona miejsc pamięci, bez względu na to, czy wiążą nas z nimi relacje rodzinne, czy jest to pamięć społeczna. W miejscach, gdzie dokonano już nieodwracalnych zniszczeń, lub które nigdy nie zostały upamiętnione, jesteśmy zobowiązani choćby symbolicznie uczcić pamięć minionych pokoleń. Zapalmy więc znicze, budujmy ściany pamięci.

ROZDZIAŁ I

PRZEKROCZYĆ GRANICĘ

ALEJA KASZTANÓW

*Starych kasztanów alejo cienista,
Co wiesziesz w miejsce spowite w żałobie,
Za życia zawsze sercu memu bliska,
Bo myśl z daleka często mknie ku tobie.*

*Dzień rozłzawiony deszczu kroplami.
Tamże, zdążając ku świętemu miejscu,
Przy żywopłocie, między nagrobkami
Szeptalem o drogich moich odejściu.*

*Stojąc przed kratą grobowca w milczeniu,
Gdy łza gorąca zwilżała mi lica,
Przeżywałem ciszę wieczoru w skupieniu
I wspominałem drogiego rodzica.*

*Wysmukłych tui świeczniki strzeliste,
Pełnijcie straż czujną przez dnie i noce,
Aż w Dzień Zaduszny płomyki ogniste
Ożywią groby i cmentarne zbocze.*

*A gdy mnie kiedyś też tutaj przywiozą,
Mam skromną prośbę, drogie mi kasztany:*

*Jak mnie w grobowcu wśród moich ułożą,
Bym szumem gałęzi był przez was witany.*

Józef Springer Skoczyński

Pożółkłe kartki starego brulionu. Zapiski prowadzone starannie wiecznym piórem, wspomnienia z wielu, wielu lat. Dziennik Józefa Springera Skoczyńskiego, mojego ojca.

Wśród notatek – wiersz, „Aleja kasztanów”. Towarzyszył mu zapewne podczas wielokrotnych nawiedzeń starego cmentarza w Kielcach, wszak był owocem zadumy i rozmyślań o losach przodków. Dziadek Edward spoczął na kieleckim cmentarzu w 1943 roku, z dala od bliskich. Szczególnie drogie mojemu ojcu – matka Berta i siostry, Anna i Janina, pochowane zostały wcześniej w rodzinnym grobowcu w Kałuszu niedaleko Stanisławowa, dzisiejszego Iwano-Frankowska. W pamięci Józefa pozostawały szczęśliwe dni, ale także wielkie rodzinne tragedie. Związane były z miejscami, które teraz pozostały za nową wschodnią granicą, będącą konsekwencją „jałtańskich porządków”.

Kraj naszych ojców i dziadów po II wojnie światowej rozdarty został niegojącą się raną. Pozbawienie dostępu do historycznych miejsc rozsianych na kresach wschodnich stało się źródłem cierpienia ich rdzennych mieszkańców przesiedlonych daleko na zachód od ro-

dzinnych stron, od grobów przodków i własnych korzeni. Taki los spotkał także moją rodzinę. Jako młody człowiek, stojąc obok ojca przed grobowcem na kieleckim cmentarzu, niejednokrotnie słyszałem, jak pełen goryczy głośno myślał:

Nie mogę pojechać do Kałusza, mimo że tam się urodziłem... Teraz to kraj „miłujący pokój”, ZSRR, tereny te są dla nas nieosiągalne! Ale gdyby tylko można było... to koniecznie na cmentarz, pokłonić się najbliższemu mojemu sercu. Czy ten grobowiec jeszcze istnieje? Jeżeli tak, to można by przenieść prochy bliskich do Kielc... Mama i siostry zostały przecież pochowane w cynowych, bogato zdobionych trumnach...

Takie właśnie było marzenie mojego ojca – nie do zrealizowania. W Kałuszu nie mieliśmy przecież nikogo, z kim moglibyśmy chociażby nawiązać korespondencję. Pozostały więc tylko wspomnienia, których fragmenty docierały do moich uszu i zarejestrowane głęboko w pamięci trwały uśpione przez następne dziesięciolecia.

Ponieważ jednak nic na tym świecie nie trwa wiecznie, tak i potęga imperium radzieckiego legła w gruzach, przynosząc upragnioną wolność wielu uciśnionym narodom. Cóż to za wielka siła mogła spowodować tak olbrzymie zmiany bez krwawej wojny bądź rewolucji? Czyż nie zawdzięczamy wszystkiego Bożej

Opatrzności, której darem był Ojciec Święty, Jan Paweł II? Wszak spełniły się słowa jego modlitwy: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!” Dla nas, Polaków, otwarły się granice wolnej Ukrainy. Jaka szkoda, że wielu spośród tych, którzy przez lata tak bardzo tęsknili, nie doczekało tej wzruszającej chwili.

Właśnie wtedy, gdy z nastaniem XXI wieku utrwalił się nowy porządek polityczny, zaświtała mi myśl, by spróbować spełnić tęsknoty ojca i odnaleźć miejsca pochodzenia oraz spoczynku najbliższych. Wprawdzie tato nie zlecił mi tej misji, ale wobec nowych okoliczności poczułem się zobligowany do jej wypełnienia niczym testamentu. Zwłaszcza że zarówno on, jak i wcześniej dziadek Edward, przelali na papier pamięć o tamtych latach. Uznałem, że ten uczuciowy spadek, który przejąłem, zobowiązuje.

Wiele naszych rodzinnych pamiątek wraz z całym dobytkiem spłonęło w Kielcach pod koniec drugiej wojny światowej. Ocalały jednak stare albumy zawierające zdjęcia z okresu międzywojennego, które ukazują sceny, wydarzenia, a przede wszystkim miejsca. Fotografie zaopatrzone w opisy, starannie wykonane białym tuszem na czarnym kartonie albumu, mogły stać się dla mnie drogowskazem i nieocenioną pomocą w odkrywaniu przeszłości. Wśród wielu odkrywających historyczne

oblicze Kałusza sprzed stu lat odnalazłem dwa zdjęcia przedstawiające rodzinny grobowiec oraz kościół.

Razem z tak konsekwentnie prowadzoną przez mojego ojca dokumentacją fotograficzną dysponowałem wierszami i korespondencją dziadka Edwarda. Posiadałem cenny materiał, toteż, mając za przewodnika stary album, postanowiłem wyruszyć w podróż, aby odnaleźć nieznane mi miejsca. Cel tej wyprawy wypisany był białym tuszem pod fotografiami: „*Grobowiec rodzinny – Kałusz*”.

ROZDZIAŁ II

TERRA INCOGNITA

Wrześniowe dni, zmienna pogoda, początek nadciągającej jesieni, nie były najlepszym czasem na wyprawę. Zwłaszcza, że zdany na środki masowej komunikacji, nie mogłem do końca sam decydować o przebiegu podróży.

Pociąg z Katowic do Lwowa dotarł do celu przed północą. Tylko do tego miejsca miałem bilet. W Polsce zakup biletu kolejowego do stacji Iwano-Frankowsk był niemożliwy, tu, we Lwowie, jak się okazało, także. Jednak pociąg w tym kierunku odjeżdża, i to za dziesięć minut. Co robić?! Błyskawicznie podejmuję decyzję: trzeba iść na peron. Dostrzegam, że przed każdym wagonem przeży się umundurowany pracownik kolei o surowym spojrzeniu. Postanawiam zaryzykować nieprzyjemną reakcję wobec przybysza z Polski i podejść do któregoś z nich. Z zakamarków pamięci wydobywam rosyjski, wtłaczany do głowy przez lata nauki w szkole. Podchodzę do groźnie prezentującej się postaci i zdecydowanym tonem proszę o bilet i miejscówkę. Niestety, spotykam się z odmową – na próżno usiłuję uprosić wstęp

do wagonu, służbista jest nieubłagany. Szybko mijają kolejne minuty, ponawiam więc szturm, tym razem w kierunku kobiety strzegącej sąsiedniego wagonu. Ta w ostatnich sekundach przed odjazdem ustępuje – „*Dawaj, sadieties!*” Co za wspaniały moment! Pociąg rusza.

Lecz to nie koniec moich problemów – nie mam przy sobie żadnych ukraińskich pieniędzy. Na dworcu we Lwowie nie zdołałem wymienić waluty, w środku nocy wszystko było już pozamykane. Zagadują do mnie jednak dwaj sąsiadujący ze mną pasażerowie, zaintrygowani zapewne moimi desperackimi próbami dostania się do pociągu. „*A pan skąd? dokąd? po co?*” Spokojnie odpowiadam na pytania, głowiąc się równocześnie nad sposobem zapłacenia za podróż. Z kłopotu wybawiają mnie współpasażerowie, chętnie przystając na złożoną przeze mnie niezwykle atrakcyjną propozycję wymiany hrywien na kilka dolarów, które miałem w kieszeni. Jestem uratowany, mogę uiścić należność za przejazd. Dalsza podróż mija nam na miłej pogawędce. Docieramy do Stanisławowa. Dziękuję towarzyszom podróży za pomoc i – wkraczam w nieznane.

Jest czwarta rano. Wita mnie stary, piękny dworzec, opustoszały i zaniedbany. Wokół kilka postaci osób śpiących na ławkach, zataczający się pijaczek szuka towarzystwa. Próbuje zdobyć jakieś informacje – gdzie jest kantor wymiany walut, wreszcie – jak się dostać do Kału-

sza. Pierwszy rozklekotany autobus wtacza się przed stację o piątej trzydzieści. Ruszamy. Stąd tylko dwadzieścia kilometrów drogi usianej dziurami i nierównościami. Jestem na miejscu. Wsiadam do taksówki i proszę o dowiezienie w okolice kościoła. W drodze kierowca wskazuje stary cmentarz na wzgórzu, który mijamy. Zza stalowego płotu wyzierają gęste zarośla krzewów i chwastów, wyraźnie rozpychane przez stare nagrobki i kilka grobowców.

Zajeżdżamy przed kościół. Pięknie odnowiony wznosi się ponad okolicą w niczym nie zmąconej ciszy. O szóstej rano nie mam odwagi naciskać dzwonka u drzwi pomieszczeń parafialnych, zawracam więc w kierunku wiekowej nekropolii. Czuję w kościach przenikliwy ziąb wilgotnego poranka i nieprzespaną noc.

Niepewnie wkraczam przez starą kutą bramę na teren cmentarza. Próbuję torować sobie drogę wśród mokrych od deszczu zarośli, lecz co chwilę się potykam i wpadam w liczne zapadliska. Wokół pochylają się wykrzywione przez czas nagrobki, gdzieś tam przeżył się stary grobowiec opatrzone napisami w języku ukraińskim, na nim daty pochówku wskazujące na połowę XX wieku. Z trudem przedzieram się dalej, lecz zziębnięty i przemoczony tracę zapal i nadzieję. W tym gąszczu nie mam szans na odnalezienie choćby śladów rodzinnego grobowca. Być może ma nowych lokato-

rów i jest już nie do rozpoznania. Czyżby moja misja miała zakończyć się pobraniem garści cmentarnej ziemi i przywiezieniem jej do Polski? Jednak jakiś wewnętrzny głos podpowiada mi, żeby kierować się w to miejsce, które widziałem z taksówki. Odganiem niecierpliwie zmęczenie i podejmuję jeszcze jedną próbę. Przecież już nieraz poprowadził mnie mój Anioł Stróż – myślę z nadzieją, że to znów On wskazuje mi drogę. Na starej alei nawet trawa i chwasty są jakieś mniejsze...

Przystaję obok grobowca огоłoconego z wszelkich tablic. Kto tutaj spoczywa? Sięgam do plecaka po stary rodzinny album, może teraz okaże się pomocny... Spoglądam na pożółkłe fotografie, analizuję każdy szczegół. Wprawdzie na grobowcu brakuje licznych fragmentów zdobień, ale pozostałości charakterystycznej łuski na elewacji wydają się być identyczne z tą na zdjęciu! Nieopodal dostrzegam nagrobek ze stojącym na nim białym krzyżem, obok metalowe, kute ogrodzenie zarośniętej mogiły. Wszystko to widział w obiektywie aparatu autor fotografii, którą trzymam przed sobą. Oto więc jestem u celu moich poszukiwań...

Grobowiec jest w opłakanym stanie. Rodzice po raz ostatni byli tu w 1938 roku. Dziesiątki lat zrobiły swoje, cmentarni rabusie także pozostawili na nim haniebną ślad wandalizmu. Kamienna płyta zabezpieczająca wejście pod-

parta jest zaledwie dwoma drewnianymi klinami, wokół niej widać wyraźną szczelinę.

Postanawiam wrócić do kościoła, poszukać bliższych informacji na plebanii. Przyjazny widok ozdobionych firankami i kwiatami okien zachęca do wizyty, jednak na odgłos dzwonka i pukania odpowiada tylko cisza. Nie ma nikogo. Spróbuję za godzinę. Tymczasem dzwony pobliskiej cerkwi wzywają na poranne nabożeństwo wiernych prawosławnych. Podążyłem za nimi. Uczestnicząc we mszy, cały czas zastanawiam się, czy może po jej zakończeniu zagadnąć celebrującego nabożeństwo, jednak rezygnuję z tego pomysłu. Wracam pod kościół, ale znów nie zastaję nikogo. Tylko na drodze wiodącej wzdłuż parafialnych zabudowań dostrzegam dwóch przechodniów. Od nich dowiaduję się wszystkiego: ksiądz przyjeżdża tylko w niedzielę, by odprawić mszę, a mieszka w miasteczku Dolina oddalonym o 20 kilometrów. Cóż, do niedzieli zostało jeszcze kilka dni, a do Doliny nie pojadę. Pytam więc o grabarza, może on coś wie na temat kwater cmentarnych? Niestety, okazuje się, że zmarł przed rokiem, mając ponad 80 lat.

Znowu pozostałem sam ze swoim znaleziskiem. Z nikąd żadnej pomocy czy chociażby wskazówki. Zdecydowałem ponownie pójść na cmentarz. Jeszcze raz otwarłem album, by rozwiać wszelkie wątpliwości. Tak, to ten sam grobowiec usytuowany przy głównej alejce,

ta sama charakterystyczna łuska na elewacji, fragmenty zdobień. No i jasny, kamienny krzyż w tle, obok żelazne ogrodzenie sąsiedniej mogiły.

Spojrzałem na drogę za ogrodzeniem i przypnięte wzdłuż niej parterowe domki z ogródkami. Wokół nikogo, tylko z rzadka przejeżdżające samochody. A może by tak sprawdzić, co kryje się za naruszoną płytą? Ostrożnie usunąłem dwa drewniane kliny i przygotowałem aparat do zrobienia zdjęć. Rzut oka na drogę i sąsiedztwo – nie ma nikogo. Sporym wysiłkiem uchylilem kamienny blok i przytrzymałem tak, by móc na powrót zamknąć grobowiec. Przez lukę do środka wdarło się światło. Ujrzałem cynowe trumny, porozrywane, najpewniej przez szukających kosztowności złodziei. Widok upewnił mnie, że to właśnie o tych trumnach opowiadał ojciec. Podekscytowany wykonałem naprędce trzy fotografie i z trudem ustawiłem płytę w uprzedniej pozycji, zabezpieczając drewnianymi klinami.

W głowie huczało mi od nadmiaru wrażeń i kłębiących się myśli. A przecież szacunek dla zmarłych wymaga wyciszenia i chwili refleksji. Zapaliłem świece i odmówiłem pacierz.

Wolnym krokiem wracałem zarośniętą aleją biegnącą przez zapomniane miejsce spoczynku tak wielu ludzi. Próbowałem zebrać myśli. Wiedziałem na pewno – na pierwszy etap wyznaczonej misji wrażeń wystarczy.

Teraz trzeba było zbudować jakiś sensowny plan dalszych działań. Zacząłem rozważać ideę mojego ojca – przeniesienia szczątków najbliższych do Polski. To przecież możliwe – znam przypadek przesłania na życzenie najbliższej rodziny prochów dziadka z Polski do Stanów Zjednoczonych. Niektóre zakłady pogrzebowe świadczą takie usługi. Postanowiłem rozeznąć sprawę po powrocie do kraju.

ROZDZIAŁ III

PLAN „B”

Początkowo sprawa wydawała się prosta. Po powrocie do Polski nawiązałem kontakt z firmą pogrzebową. Jej sympatyczny i pełen dobrej woli szef, znający procedury międzynarodowe, orzekł, iż z formalnego punktu widzenia przeniesienie szczątków moich bliskich do kraju nie powinno być problemem. Miał już za sobą „przypadek amerykański”, toteż zaoferował załatwienie formalności, zwłaszcza że on sam wraz z żoną, mając rodzinę na Ukrainie, często bywał w tym kraju. Ucieszyłem się i cierpliwie czekałem.

Telefon odezwał się po kilku miesiącach. Niezwłocznie przyjąłem zaproszenie na spotkanie ciekaw postępów w mojej sprawie. Okazało się, że uzyskanie zgody polskich władz konsularnych we Lwowie będzie proste, natomiast przeszkody mogą pojawić się ze strony ukraińskiej. Nawet jeśli pokonamy trudności formalne, na straży grobowca mogą stanąć samozwańczy obrońcy związani z kościołem prawosławnym lub grekokatolickim, którzy nie dopuszczają nawet myśli o ruszaniu

szczątków zmarłych i są w stanie zareagować w sposób dla nas nieprzewidywalny, może nawet używając broni palnej. Poza tym odrębny problem stanowią owe cynowe trumny mające status zabytku.

Przeszkody zbudowały mur nie do pokonania. Cóż, nie pozostanę bierny. W takiej sytuacji trzeba działać inaczej, ale działać! Muszę wprowadzić w życie „plan B” – wyremontować grobowiec, zamontować granitową tablicę z napisem *Ś.P. SPRINGEROWIE*. Wreszcie – pobrać z wnętrza trochę ziemi i prochów, by umieścić w urnie na cmentarzu w Kielcach.

Następnego roku, pod koniec lata, z gotową już tablicą nagrobną ponownie wyruszam w drogę. Towarzyszy mi album ze zdjęciami, które już raz okazały się nieocenioną pomocą i doprowadziły mnie do miejsca spoczynku moich przodków. Zabieram też ze sobą ich stare metryki oraz wycinek z przedwojennej gazety – zapis tragedii, jaka dotknęła moją rodzinę.

Tym razem wyjechałem z Katowic w sobotę, by w niedzielny poranek trafić w Kałuszu na mszę i spotkać się z księdzem sprawującym posługę w tamtejszym kościele. Atmosfera nabożeństwa mnie urzeka – kościół jest wypełniony rodakami. Aż miło popatrzeć, ilu wśród nich jest młodych. Ksiądz celebduje uroczystość w asyście dwunastu ministrantów, a w starych murach po dziesięcioleciach

nieobecności rozbrzmiewają modlitwy i pieśni w języku polskim. Podekscytowany, zaraz po błogosławieństwie, kieruję się w stronę wielebnego, którego otacza wianuszek sędziwych parafianek. Pełen nadziei przedstawiam się, mówiąc krótko, z jaką misją przybywam z tak daleka. Jakież jest moje zaskoczenie, gdy zamiast zainteresowania ksiądz okazuje lekkie zniecierpliwienie i pośpiech. Rozumiem, czekają na niego wierni jeszcze w dwóch kościołach, ale... Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw. Ksiądz odsyła mnie do otaczających go starszych pań. Czyżbym znów został z niczym? Mimo to nie tracę nadziei. Przecież zaplanowałem tu kilkudniowy pobyt. Wyposażony w podróżną torbę i przytroczony do niej pakunek zawierający granitową tablicę, muszę budzić zainteresowanie wśród miejscowych wiernych. Któraś z kobiet zagadnęła po chwili: „*A pan na długo przyjechał do Kałusza?*”

Wyluszczam cel mojej wizyty i z radością dowiaduję się, że mogę skorzystać z kilkudniowej gościny. Podążając za moją przewodniczką, opowiadam trochę o sobie, a przede wszystkim przedstawiam swoje plany związane z odnowieniem rodzinnego grobowca. Gawędząc miło, docieramy do niewielkiego piętrowego domku otoczonego kwiatami i owocowymi drzewami. Gdy poznaję rodzinę gospodyni, jej męża i mamę, niespodziewanie rozwija się następujący dialog:

– A pan to gdzie w Polsce mieszka?

– W Katowicach – odpowiadam.

– W samym mieście?

– Tak.

– Ja tam byłam u mojej bliskiej rodziny, mam tam kuzyna, którego traktuję jak brata.

– Jak się nazywa? Może go znam? – pytam, nie spodziewając się sensacji.

– To Jerzy Handermander, jest profesorem malarstwa na ASP.

Wiadomość mnie elektryzuje. Z profesorem wprawdzie nie miałem kontaktu, ale przecież znam dobrze jego córkę, Małgosię, i jej męża, Jarka Lewickiego. Mieszkają w sąsiedztwie, zaledwie kilkaset metrów od mojego domu. Z Jarkiem mam stały kontakt, bo też jest pisarzem i wydawcą okolicznościowej gazety o naszej dzielnicy zatytułowanej „*Kościuszki i okolica*”.

– Co za spotkanie! – z radością zawołała pani domu. Atmosfera stawała się coraz bardziej rodzinna a ja, niespodziewany gość, miałem okazję spróbować dań przygotowanych własnoręcznie przez gospodynię. Nie obeszło się oczywiście bez toastu i przejścia na „ty”.

Po obiedzie wyruszyliśmy na spacer. Dzięki moim znakomitym przewodnikom poznawałem miasto i jego historię. Cesia, a przede wszystkim jej ponad dziewięćdziesięcioletnia matka, okazały się istnymi skarbnicami wiedzy przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

Słuchając ich opowieści podczas wędrówki w kierunku cmentarza, oczami wyobraźni, jak przez mgłę, ujrzałem dziadków, ojca i jego siostry, jak przed stu laty, pełni nadziei, radości i planów na przyszłość współtworzyli tę polsko-ukraińsko-żydowską społeczność funkcjonującą harmonijnie jak jeden organizm.

Z oddali, u podnóża cmentarnego wzgórza można było dostrzec kamienne białe krzyże. To kolejny z jakże licznych śladów pozostawionych przez historię. Tereny te przez dziesięciolecia znajdowały się pod panowaniem Austrii. Pierwsza wojna światowa, która siała spustoszenie w całej Europie, nie ominęła również tych ziem.

Idziemy dalej. Wkraczamy na cmentarz. Odwiedziliśmy mogiły dziadków Cesi, po czym docieramy do odnalezionego przeze mnie grobowca Springerów. Jego okazałość świadczyła wyraźnie o zamożności rodziny, na co zwrócili uwagę moi towarzysze. Jednak dziesiątki lat, jakie minęły od 1926 roku, od czasu pochówku mojej cioci Janiny oraz babci Berty, a potem grabieże cmentarne spowodowały, że przedstawiał on widok przygnębiającej ruiny. Toteż oplakany stan miejsca spoczynku moich przodków powodował, iż czułem się zobowiązany do doprowadzenia go do porządku, na jaki zasługiwał. Przytaczam więc moim nowym przyjaciołom fragmenty rodzinnej historii. Opowiadam o zamordowaniu Janki, sio-

stry mojego ojca. Wiem, że mimo iż zginęła z rąk Żyda, rodzina w obliczu tragedii i bólu nie uprzedziła się do społeczności żydowskiej. Niejednokrotnie słyszałem z ust mojego ojca argumenty, że takiego szalonego czynu dopuścić mógł się tylko nie zrównoważony psychicznie i emocjonalnie człowiek, i nie ma znaczenia, jakiej był narodowości. Ale to nie jedyne dramatyczne zdarzenia, jakie dotknęły moich dziadków i ojca. Siedem lat wcześniej na zapalenie płuc zmarła piętnastoletnia Andzia, druga siostra taty. Straty dwóch córek nie przeżyła babcia Berta, przy życiu pozostał zrozpaczony dziadek Edward i jego syn, Józef, później mój ojciec.

Dziadek miał zwyczaj opisywania różnych wydarzeń, zwłaszcza związanych z dziejami rodziny. Często robił to w formie wierszowanej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zapisy te, podobnie jak nieocenione fotografie, zachowały się do dziś i, jak przytoczona poniżej dumka, są świadectwem tamtych dni.

Dumka.

Tam, gdzie kwitną^{1.} tony zboża,
Tam dziewczyna żyła hoża,
Tam, dziewicę tę poznałem,
Duszą, sercem pokochałem.
Tam spędzałem chwile błogie,
Przy mej lubej, przy niebogiej.
Tam to serca się złączyły,
By na ~~na~~ zawsze z sobą żyły.

Bóg nam z^{2.}awsze dopomagał,
Nie biczował i nie smagał.
Pod opieką dobrej matki,
Chowały się nasze działki.
Myśmy oła nich tylko żyli
I z nich zalet, dumni byli.
Jednak to nie długo trwało,
Gdyż po czasie się urwało.

3.
Zabrat nam Bóg co najmilsze
I, co sercu jest najbliższe.
Zabrat nam do Swojej chwały
Nasze złoto, nasz skarb cały;
Naszą córę, Andzię lubą,
Naszą miłość, naszą chlubę.
Często rzucałszy ptaki,
Pożyłem także narzekali.

4.
Lecz nie na tem się skończyło,
Przyшло drugie, gorsze było.
Znalazł się żyd idjota,
Jakiś niepoń i niecnota.
Nienawidzi w sercu chował
I, nam dziecię zamordował.
Bez przyczyny i bez winy,
Pozbawił życia dziecię.

1.

5.
Jakaś wielka boleść, strata
Nas dotknęła, na te lata.
Takie drogie, takie miłe,
Lecić musi dziś w mogile.
Strata, nie pomsztowana,
Płocze ojciec, płacze matka.
Płaczą od świtu do nocy,
W strasznym bólu i niemocy.

6.
Matka wiele wycierpiała,
O swych dzieciach wciąż myślała.
A nie mogąc znaleźć krusze,
Poszła tam, gdzie jej dwie dusze.
Tam to w gronie swoich dzieci,
Czas jej teraz szybko leci.
A miłe smutno płyną chwile,
Smutniej, jak im tam w mogile.

•/•

7.
Jam samotnik, jam sierota,
Cierpieć muszę jak niecnota.
Pokutować tu, na tej ziemi,
Aż połowczę się tam z niemi.
Opłakuję swoją dolę.
Bo mnie serce boli,
Że na moje stare lata,
Błąkam się wśród świata.

Czyż nie tyle być musiało,
Że mnie wszystko spotkało?
Czyli obrazem Boga,
Że cierniowa ma dziś droga?
O mój Boże! o mój Panie!
Oddal odemnie karanie!
Nie opuszczaj słony mojej,
Lecz przyjm ją do chwały Twojej!

9.
Tam, gdzie moja żona droga,
Gdzie dziecina jedna, druga,
Tam to tylko razem z niemi
Chcę być, schodząc z tej tu ziemi.
Tam chcę razem z niemi w Niebie
Cieszyć się i chwalić Ciebie,
Na wiek, wieków, po wieś wieczy,
Gdy opuszcze góry, lasy!

~ ~ ~

Napisałem w rocznicę śmierci żony.

Katowice 16. V. 1927.

Edward Sprinżan

Następnego ranka samochodem gospodarczy wyruszyliśmy na poszukiwania fachowca, który mógłby wykonać zabezpieczające grobowiec roboty murarskie. Odprawieni z kwitkiem w dwóch miejscach zaczęliśmy rozważać przesunięcie prac na następny rok. Rozsądne wydawały się argumenty Cesi o zbliżających się przymrozkach, które mogą zniweczyć efekt zabiegów renowacyjnych. Postanowiliśmy więc działać inaczej. Uzbrojeni w łopatę, grabie i siekierę pojechaliśmy ponownie na cmentarz. Moi przyjaciele z werwą przystąpili do karczowania samosiejek okalających mogiłę, ja natomiast zająłem się usunięciem drewnianych klinów, by, razem z Włodkiem, odsłonić wejście. Wkrótce ciężka kamienna płyta spoczęła na trawie, otwierając widok na wnętrze grobowca. Rok wcześniej przez szczelinę widziałem niewiele, teraz dzieńne światło, które wdarło się do środka, pozwoliło zobaczyć wszystko dokładnie. Postanowiłem nie wchodzić do wewnątrz, zresztą, aby to zrobić, potrzebna byłaby drabinka. Może jednak w jakiś sposób uda się pobrać garść prochów i zawieźć do kraju? Dwie cynowe trumny ustawione najwyżej i najbliżej wejścia były uszkodzone. Ta z lewej strony w dwóch miejscach na znacznej długości, a jej wieko częściowo rozprute. Z miejsca, w którym klęczałem, nie było widać zawartości. Druga trumna była otwarta, wieko wspierało się na jej przedniej części,

odslaniając ponad połowę wnętrza. W środku nie dostrzegłem zwłok. Łopatką o długim stylisku nabrałem z dna trumny nieco prochów i również za jej pomocą umieściłem wieko na właściwym miejscu. Dopiero teraz mogłem spojrzeć w dół, w głąb grobowca. Równie pięknie zdobiona trumna z niższego poziomu także miała rozerwany bok, zaś jeszcze niżej na resztkach aksamitnej sukni spoczywały kości czaszki, miednicy i piszczeli. Mogły zostać stracone z górnego poziomu na szczątki pradziadów. Grabkami sięgnąłem po dwie kości kręgowe. Wszystko włożyłem do przygotowanego uprzednio foliowego woreczka.

Misja częściowo wypełniona! Miałem ze sobą część moich bliskich. Teraz oni w tej symbolicznej postaci mieli przekroczyć granicę i dołączyć do pochowanych w Kielcach mojego dziadka i ojca. Zdobyłem więcej, niż się spodziewałem, więcej, niż stanowiącą znak pamięci garść ziemi...

Z pomocą Włodka umieściłem kamienną płytę na miejscu i ustabilizowałem nowymi klinami. Granitową tablicę z nazwiskiem mojej rodziny wmurowałem nad wejściem do grobowca. Z satysfakcją stwierdziłem, że po wielu latach to miejsce pamięci zaczyna wychodzić z mroków zapomnienia. Remont, jaki planowałem przeprowadzić w następnym roku, powinien całkowicie przywrócić mu świetność i godny wygląd. Przed odejściem

zapaliliśmy znicze i zmówiliśmy pacierz za dusze zmarłych, czyniąc podobnie na miejscu spoczynku przodków moich gospodarzy. Byłem niezmiernie wdzięczny Cesi i Włodkowi za wszystko, co dla mnie zrobili. Wiem, że nie mogłem lepiej trafić. To ich ludzka, życzliwa pamięć okazała się największym sprzymierzeńcem w odkrywaniu przeszłości. Żaden ksiądz, sprawujący posługę w Kałuszu, nie byłby w stanie mi pomóc – tamtejszy kościół tylko w święta stawał się miejscem jego obecności, na co dzień świątynią opiekowała się lokalna społeczność, zaś archiwum parafialne uległo zniszczeniu za czasów sowieckich. To też tylko mieszkańcy Kałusza stanowili łącznik między przeszłością a teraźniejszością. Jeszcze jeden dzień w ich gościnnym domu, w rodzinnej atmosferze, stał się dopełnieniem mojego sukcesu.

Nazajutrz, obdarowany domowymi przysmakami: miodem, orzechami, suszonymi owocami, chałwą, a także podarunkami dla rodziny Handermanderów, zostałem odprowadzony do autobusu relacji Kałusz – Lwów. Serdecznie wyściskany na pożegnanie, zapewniony o zaproszeniu na następny rok, ruszyłem w drogę powrotną. We Lwowie zamiast do pociągu, zdecydowałem się przejechać na kolejny autobus, jadący stamtąd do Wrocławia przez Katowice. Miałem nadzieję, że mój Anioł Stróż nadal będzie mnie prowa-

dził i mój niezwykley bagaż w postaci foliowej torebki, której strzegłem niczym relikwii, nie stanie się źródłem żadnych problemów podczas przekraczania granicy. Po wejściu do autobusu stwierdziłem, że najlepiej i najwygodniej będzie ulokować się na tylnym siedzeniu. Przede mną wiele godzin jazdy – doskonały czas, aby pozbierać myśli po kilku dniach silnych wrażeń, jeszcze raz wszystko przeanalizować. Na siedzisku obok mnie już wcześniej rozłożył się słusznej postury Ukraińiec. Jego bagaż stanowiło kilka podłużnych paczek. Zwróciłem na nie uwagę dopiero podczas dłuższego postoju na granicy w Medyce. To one właśnie podczas odprawy przyciągnęły wzrok celnika. Mężczyzna przedstawił się jako rzeźbiarz i oświadczył, że właśnie wiezie do Polski swoje prace. Usatysfakcjonowany wyjaśnieniem urzędnik zaniechał kontroli, nie zwracając większej uwagi na mnie. Ruszyliśmy, a ja odetchnąłem z ulgą. Pozbywszy się resztek stresu i będąc z moim niecodziennym pakunkiem już po właściwej stronie granicy, zaintrygowany zwróciłem się do sąsiada. Od razu przedstawiłem się, nie ukrywając mojej pisarskiej pasji. Stanisław Pawłowski, bo tak nazywa się poznany przeze mnie rzeźbiarz, stwierdził, że skoro łączą nas artystyczne zamiłowania, powinniśmy mówić sobie po imieniu, po czym wyjął z bagażu niewielką butelkę i zaproponował toast. W dalszej drodze

towarzyszyły nam wzajemne opowieści – ja relacjonowałem moje przygody na Kresach, towarzysza podróży zaś zagadnąłem o polsko brzmiące nazwisko. Stanisław opowiedział mi barwną historię jego rodziców Polaków wysiedlonych w czasie II wojny światowej do Kazachstanu, do miejsca, gdzie w 1942 roku on sam przyszedł na świat. Okazało się, że jego rodzina także żyje w specyficznym rozkroku: jedna część, a w niej Stanisław, pozostaje na Ukrainie, pozostali zaś w Polsce. Rzeźbiarz od lat jeździ do Wrocławia oraz do Sulistrowiczek, miejscowości pod Ślężą. To właśnie dla tamtejszego Sanktuarium Matki Boskiej wykonuje na zamówienie rzeźby.

Cóż, to chyba znowu ingerencja mojego Anioła Stróża! Zbieg okoliczności? Przecież kilka lat wcześniej bezskutecznie poszukiwałem artysty, który wykonałby naturalnej wielkości medalion mojego ojca. Wymarzyłem sobie sporządzony na jego podstawie odlew z brązu, taki, jaki mój tato zlecił do wykonania dla upamiętnienia swojego ojca a mojego dziadka. Jednak okazało się, że koszty takiego przedsięwzięcia byłyby znaczące. Kując więc żelazo, póki gorące, zapytałem o zdanie mojego nowego znajomego. Pomysł go zaintrygował, umówiliśmy się, iż podczas jego tygodniowego pobytu w Polsce dostarczę mu fotografię ojca, a on odniesie się wówczas do mojego zamiaru.

Kto by się spodziewał, że nawet podczas powrotu z Ukrainy poczynię następne kroki dla uhonorowania tych, wobec których pragnąłem spłacić dług pamięci? Podróż pełna wrażeń i emocji, także rozbudzonych nadziei, zakończyła się przyjaznym uściskiem dłoni. Wysiadłem w Katowicach. Był czwartek. Już w niedzielę z fotografią przedstawiającą ojca znalazłem się w Sulistrowiczkach. Stanisław, przyjrzawszy się dostojnej postaci na zdjęciu i jej szlachetnym rysom orzekł, iż może wykonać płaskorzeźbę w drewnie lipowym. Ucieszyłem się, zwłaszcza że warunki finansowe i sposób rozliczenia dopiero po wykonaniu usługi miło mnie zaskoczyły. Już po kilku miesiącach trzymałem w ręku upragnioną płaskorzeźbę, która stała się wzorem do wykonania odlewu. Zaś znajomość ze Stanisławem zaowocowała przyjaźnią, a nasze spotkania u gościnnego Ludwika w „Chacie pod Dębami” – następnymi zamówieniami składanymi u artysty.

ROZDZIAŁ IV

ZAPUSZCZANIE KORZENI

Kielce były drugim celem mojej misji. Właśnie tam znajduje się inny grobowiec, ten, który znam od czasów dzieciństwa. W nim spoczywa mój ojciec, tam też pochowany jest dziadek Edward oraz przodkowie mojej mamy. Oni przyjmą tę garść prochów, które udało mi się odnaleźć w odkrytym podczas podróży kraju moich przodków. Umieściłem je w urnie, po czym fakt ten zgłosiłem w kancelarii parafii katedralnej. W dokumentach parafialnych odnotowano złożenie symbolicznej urny rodziny Springerów z Ukrainy w rodzinnym grobowcu na starym cmentarzu w Kielcach.

Właśnie w Kielcach przyszedłem na świat, tam spędziłem beztroskie dzieciństwo i wzrastałem pod czujnym okiem surowej babci Tosi. To miasto, w którym żyli także – mój ojciec Józef i dziadek Edward Springer, piszący wiersze i wspomnienia. Jak to się stało, że właśnie Kielce znalazły się na ich mapie życia?

Józef urodził się w Kałuszu w 1900 roku. W roku 1918, w którym Polska odzyskała niepodległość, z wyróżnieniem zdał maturę,

po czym na Akademii Górniczej w Leoben w Austrii podjął studia, które z najwyższymi wynikami ukończył w 1924 roku. Po powrocie do Kałusza rozpoczął pracę w Towarzystwie Eksploatacji Soli Potasowych „TESP”. Później, mimo atrakcyjnych propozycji ze strony firm austriackich, zdecydował się na wyjazd w inne rejony Polski. Został zatrudniony przez firmę „M. Łempicki i Spółka” w Sosnowcu, lecz skierowany do robót poszukiwawczo wiertniczych w rejonie Kielc. To tereny, które już na początku XIX wieku badał jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego oświecenia, Stanisław Staszic. Dzięki dokonaniom przez niego odkryciom geologicznym powstały pierwsze mapy geologiczne obszarów polskich i należących do krajów ościennych. Staszic w 1816 roku założył w Kielcach Szkołę Akademiczno-Górnica, uchodzącą za pierwszą polską wyższą uczelnię techniczną. W niej kształcono fachowców między innymi dla powstającej w Dąbrowie Górniczej kopalni mającej eksploatować odkryte przez uczonego złoża węgla kamiennego. Te właśnie opracowania autorstwa Stanisława Staszica stanowiły znaczącą pomoc dla młodego inżyniera górniczego, którego czekało wiele zawodowych wyzwań.

Jest rok 1925. Józef otrzymuje zadanie zbadania złóż mineralnych występujących na terenach Gór Świętokrzyskich oraz w pobliżu

Kielc pod kątem możliwości eksploatacyjnych. Pakuje się w dwie walizki i rusza pociągiem do Kielc. Nie ma jeszcze pojęcia, gdzie się zatrzyma – pobyt zaplanowany jest na wiele tygodni i zakwaterowanie w jedynym w mieście hotelu, znajdującym się przy głównej ulicy Sienkiewicza, nie wchodzi w grę. Trzeba szukać pokoju w prywatnym mieszkaniu. Najlepiej w pobliżu linii kolejowej, żeby mieć swobodę w podejmowaniu podróży poza miasto. Józef oddaje bagaże do dworcowej przechowalni i śmiało rusza w nieznane. Oto naprzeciwko stacji wyrasta kilkupiętrowa narożna kamienica. Od razu zwraca uwagę przyjezdnego – trzeba za ryzykować i spróbować. Solidne wejściowe drzwi uchylają się na dźwięk dzwonka.

Przybysz, przepytany wstępnie przez dobiekliwego dozorcę, zostaje jednak na zewnątrz. Ale nie na długo. Po chwili zgrzyt klucza zamku sygnalizuje, że jest szansa na spotkanie z właścicielem kamienicy. Faktycznie, w drzwiach stanął tęgawy jegomość w średnim wieku, w którego oczach pojawiła się ciekawość na widok młodego człowieka w nienagannie skrojonym garniturze. Uprzejme odpowiedzi na pytania „Skąd?”, „Na jak długo?”, wzbudziły widać zaufanie i szacunek, gdyż już po chwili obaj panowie wspinali się po schodach na drugie piętro. Stamtąd właśnie dobiegał dziewczęcy śpiew i akompaniament pianina.

Mężczyźni weszli do salonu, gdzie przy pianinie siedziała młoda, ładna blondynka, obok zaś stała druga panienka, wyraźnie od pierwszej młodsza. Józef pomyślał, że są to zapewne córki gospodarza. Obie, speszzone obecnością niespodziewanego słuchacza, wyszły do sąsiedniego pokoju, skąd nadeszła po chwili żona właściciela. Gość przedstawił się obojgu, informując o celu swojego przyjazdu do Kielc. Wkrótce, przy filiżance herbaty, niespodziewanie szybko okazało się, że może tu liczyć na dach nad głową – gospodarze zaproponowali mu wynajęcie niewielkiego mieszkania na pierwszym piętrze.

Po wstępnych oględzinach w mieszkaniu za gościły walizki podróżnego przyniesione z dworca przez bagażowego. Rozczarowany dorożkarz, liczący na kurs, musiał odejść z kwitkiem – dystans był stanowczo za krótki, by wynajmować jakikolwiek przewóz. Nowy lokator miał dużo szczęścia – mieszkanko spełniało jego wszelkie oczekiwania, w dodatku gosposia właścicieli przygotowywała posiłki także dla niego. Była tu również strawa dla duszy – anielski dziewczęcy śpiew i klawiszowe akordy rozlewały się kojąco po całym domu. W tej niezwyklej atmosferze przypomniał sobie wiersz Goethego:

*Gdzie słyszysz śpiew, tam wstąp.
Tam ludzie dobre serca mają,
Bo ludzie źli, ach, wierzaj mi,
Ci nigdy nie śpiewają.*

Dom rodzinny w Kałuszu również rozbrzmiewał śpiewem i muzyką. Nawet dziadek Edward, jego ojciec, pisząc swoje wiersze, łączył poezję z gitarowymi akordami. A oto jeden z nich, zatytułowany *Płynie piosenka*:

Szumi potok w dolinie,
A z nim piosenka płynie.
Nasza piosenka nam droga,
Gdyż dochodzi do stóp Boga.
Smutki, troski spędza z czoła
I do tańca wszystkich woła.
Hejże, dalej, w tany bracie,
Gdy dziewczyna czeka na Cię.
Dalej, bracia, wszyscy razem,
wszak nie jesteś z płota kołem.
W żyłach płynie Piastów krew.
Dalej, dalej, na ten zew.
Hura, hura, wszyscy wraz,
Ile tylko jest tu nas.
Hop dziś, dziś, raz, dwa, trzy,
Bo jest zuchem on i Ty.

* * *

Józefa od razu pochłonęła praca. Pomiędzy licznymi obowiązkami zawodowymi, wypełniających całkowicie dni, młody inżynier z ogromną radością przyjął zaproszenie gospodarzy na niedzielny obiad. Prawdę mówiąc, nie mógł się doczekać, kiedy ujrzy niezwykłą pianistkę, której wdzięk i uroda rzuciły na niego czar już podczas pierwszego spotkania.

Po pełnych niecierpliwego oczekiwania dniach nadeszła niedziela. Punktualnie o pierwszej w południe, z bukietem kwiatów w dłoniach i z bijącym w szalonym tempie sercem, nacisnął na dzwonek mieszkania gospodarzy. Pani domu stanęła w drzwiach. Z zachwytem przyjęła kwiaty, usprawiedliwiając równocześnie chwilową nieobecność męża. Okazało się, iż jest felczerem i został wezwany do pacjenta. Jednak w tej samej chwili pod dom zajechała dorożka. Gospodarz powrócił. Służąca krzątała się w salonie, czyniąc przygotowania do obiadu. Przy nakrytym dla czterech osób stole zasiadła młodsza dziewczynka z rodzicami. Gość, rozglądając się niecierpliwie, z niepokojem uświadomił sobie, że są już w komplecie. A gdzie starsza córka? Nieśmiało zapytał o piękną pianistkę. Czyżby była poza domem? Ależ nie, to nie córka, lecz siostrzenica, często tu bywa ze swoją matką.

Nie przypuszczał, że tak bardzo odczuje brak tej zjawiskowej istoty. Mimo że atmosfera spotkania była miła, Józefa rozpraszało wspomnienie blondynki o zielonych oczach. Nie uszło to uwadze pani domu, która, dostrzegając reakcje młodego człowieka, dyskretnie wypytала go o stan cywilny, po czym obiecała zaprosić siostrę z córką na podwieczorek w następną niedzielę. Ziutek, mimo swej dorosłości, speszony bystrością gospodyni, podziękował za obiad i, wymawiając się obowiązkami związanymi

z pracą oraz wyjazdem w teren następnego dnia, udał się czym prędzej na swoje pięterko.

Pomimo nawału prac geologiczno-poszukiwawczych, kolejne dni ciągnęły się dla niego niemiłosiernie. Nie wiedział o niej nic. Nie poznał jeszcze niczego poza urodą, grą na pianinie i błyskiem zielonych oczu. Jednak gdzieś w głębi rodziła się nieznana dotąd siła, która była jak magnes. Czy to możliwe, by jedna chwila wywołała aż taką lawinę uczuć? A może to tylko gra wyobraźni? Może wszystko dlatego, że w nieznanych Kielcach spotkał dom podobny do własnego, w którym ludzie emanują dobrocią i życzliwością? Przecież wszystko szło jak po maśle, także w pracy układało mu się pomyślnie, do pełni szczęścia brakowało tylko jednego...

Kolejną niedzielę w Kielcach miał spędzić ponownie z rodziną państwa Rożków, tym razem w poszerzonym gronie. Najpierw msza w pięknej, starej barokowej katedrze, potem obiad w pobliskiej restauracji. Od przyjazdu przyglądał się miastu. Wyzwolone spod zaboru rosyjskiego, nie dorównywało Kałuszowi, nie mówiąc już o Stanisławowie, a co dopiero o Lwowie! We znaki dawał się przede wszystkim brak kanalizacji, tak w centrum jak i na obrzeżach. Podczas obfitych opadów deszczu sytuacja nieco się poprawiała – wszystko spływało do Silnicy, niewielkiej rzeczki, która jednakże coraz bardziej przypominała ściek zatru-

wający powietrze w całej okolicy. Miejskowe władze rozpoczęły likwidację pozaborowych zaniedbań – w pierwszej kolejności zamierzano zbudować system kanalizacji. Jednak możliwości rajców były bardzo ograniczone, bo poza drobnym handlem, pozostającym głównie w rękach społeczności żydowskiej, źródła podatków przynoszących wpływy do kasy miejskiej były mizerne. Przemysłowy kapitał europejski nie interesował się tą częścią Polski tak jak Śląskiem czy wybrzeżem.

Ta niedziela była na szczęście pogodna, toteż dystans pomiędzy okolicami dworca a katedrą można było przemierzyć suchą nogą, nie wpadając w kałuże zasilane deszczówką wypływającą z rynien wprost pod nogi przechodniów. Żadne więc niedogodności nie zaprzętały głowy młodego człowieka, który niecierpliwie czekał na nadejście umówionej godziny. Poznanie pani Teofilii Szubert i jej córki Stefanii było dla niego nie lada przeżyciem – szumiało mu w głowie jak po wypiciu kilku kieliszków alkoholu i z trudem udawało się ukryć stan, w jakim był po raz pierwszy w życiu. Rozmowy przy stole na szczęście dotyczyły spraw ogólnych, zbaczając nieco na tematy rodzinne i zawodowe perspektywy. Ponieważ zbliżał się koniec roku, zapytany o plany na okres świąteczny odrzekł, że wybiera się do Kałusza, by spędzić Boże Narodzenie z matką, ojcem i ukochaną siostrą Janką.

Wkrótce nadeszły święta. To już szóste od śmierci Andzi, jego starszej siostry. Ból po jej stracie złagodniał nieco w czasach, kiedy to po odzyskaniu niepodległości otwały się nowe perspektywy dla młodych, wykształconych ludzi. Rodzina Springerów pokładała wielkie nadzieje w przyszłości syna i córki Janki, choć życie pokazało już, iż przynosi zarówno radośnie, jak i tragiczne niespodzianki, a nikt nie jest w stanie przewidzieć, co niesie ze sobą następny dzień. Przy wigilijnym stole, w atmosferze serdecznych życzeń, Ziutek oświadczył swoim najbliższym, że zakochał się w Kielczance, i to nie na żarty! Wspaniała wiadomość rozczyła matkę. „Oby dobry Bóg sprawił, że zauroczenie przekształci się w prawdziwą miłość, a wasze serca połączy związek małżeński, tak, jak to się stało z nami” – rzekła wzruszona, spoglądając to na ojca, to znów na wyraźnie szczęśliwego syna.

Nikt nie spodziewał się, że to ostatnie radośnie chwile w rodzinnym gronie. Józef powrócił do Kielc, gdzie pełen nadziei na szczęśliwą przyszłość powitał nowy, 1926 rok. Uczucie młodych kwitło pod okiem rodziców Stefanii. Aż w pewien mroźny, styczniowy dzień, jak grom z jasnego nieba, spadła tragiczna wieść – siostra Janka została zamordowana. Wiadomość została przekazana listownie, a opis całego dramatycznego zdarzenia pojawił się w *Słowie Polskim* 31 stycznia 1926 roku.

Zamordowanie nauczycielki Polki przez Żyda!

Szesnaście cięć siekierą.

„Słowo Polskie” nr 30

Wojniłów w styczniu 1926

W miasteczku Wojniłów, powiat Kałusz dwie nauczycielki młode, Polki, p. Springerówna i p. Stenglówna, z powodu braku mieszkań u katolików, były zmuszone od dłuższego już czasu wynajmować dla siebie 2 pokoiki u właściciela żyda. Dnia 24 b. m. przed 7 godziną rano p. Stenglówna wyjechała do Kałusza w odwiedziny do znajomych.

Na tę chwilę czekał młody żydek 21 letni, nauczyciel języka hebrajskiego dzieci żydowskich, krewny właściciela domu i mieszkający u niego. Wpadł z siekierą do pokoju p. Springerówny i zadawszy jej leżącej jeszcze w łóżku przeszło 16 cięć tępą siekierą pozbawił ją w bestjański sposób życia. Co było powodem tego krew ścinającego mordu niewiadomo. Ujęty złoczyńca z cynizmem przyznaje, iż zamordował śp. Janinę Springerównę, bo już od dłuższego czasu z tym zamiarem się nosił, a dopiero teraz dobra sposobność się mu nadarzyła; a zamordował ją dlatego, iż razu pewnego ś. p. ofiara miała się z niego naśmiewać. Nawet miał się do więźniów zamkniętych razem z nim w więzieniu wyrazić, iż zamordował,

bo tak chciał; ma 4 morgi pola, jeden sprzeda i będzie wolny. Żydzi już dziś chcą z niego zrobić wariata.

Potworny ten mord wywołał w okolicy wielkie oburzenie. Większe jeszcze oburzenie wśród Polaków wywołało to, co po tym bestjałskim mordzie nastąpiło.

Na komisję naczelnik sądu w Kałuszu, Polak wyznaczył sędziego izraelitę, a ten pan sędzia izraelita powołał do komisji aż 2 doktorów izraelitów. W ostatniej dopiero chwili tuż przed samem rozpoczęciem komisji, polecił p. naczelnik sądu wziąć udział w komisji fizykowi Polakowi.

Mieszkanie ś. p. Springerówniej od mieszkania właściciela oddzielają tylko bardzo lichutkie drzwi, które kopnięciem nogi można było otworzyć. Ofiara rozbestwionego żyda musiała jęczeć i wzywać pomocy, gdy ją w bestjałski sposób mordował. Dlaczego nie pośpieszono z ratunkiem, wszyscy przecież byli w domu; nie spali, tylko obojętnie jękom mordowanej się przysłuchiwali. Ujęli dopiero złoczyńcę z zakrwawioną siekierą na podwórzu, po dokonanym mordzie.

Tak w tragiczny sposób ubyla powiatowi kałuskiemu jedna z bardzo dobrych polskich sił nauczycielskich, rokujących wiele nadziei. Pp. Springerom bardzo gerliwym Polakom rodzicom tragicznie zmarłej córce towarzyszy prawdziwe wszystkich współczucie.

Ten niespodziewany cios, tak wstrząsający tuż po świątecznej sielance, okazał się śmiertelny także dla matki. Zrozpaczona nie zniosła straty drugiej córki. Berta Springer zmarła 16 maja tego samego roku. Wszystkie te wydarzenia spowodowały, że Józef musiał zweryfikować swoje plany życiowe. Zrezygnował z pracy w Kielcach, by wesprzeć ojca Edwarda. Wrócił do Kałusza.

Ojciec i syn długo zastanawiali się, jak dalej pokierować tak nieprzewidywalnym losem. Ostatecznie podjęli bolesną decyzję o sprzedaży całego majątku na Kresach. Teraz plany zawodowe miały zdecydować o ich przyszłości. Spośród wielu propozycji zatrudnienia jedna dla młodego inżyniera okazała się niezwykle interesująca – miała związek z kapitałem amerykańskim, który pojawił się w tym czasie na Śląsku i przejął zakłady przemysłowe oraz kopalnie należące dotychczas do *Giesche S.A.* Potencjalni pracodawcy nie byli Niemcami, a miało to znaczenie dla pokolenia młodych polskich patriotów. Dodatkowo za przyjęciem tejże oferty przemawiał fakt, iż ze Śląska i jego okolic blisko było do Kielc, dokąd młodego człowieka, niczym magnes, przyciągał urok ukochanej istoty.

Rok 1927 przyniósł zmiany na lepsze. Stanowisko kierownika robót górniczych w kopalni cynku i ołowiu „Matylda” w Kątach koło Chrzanowa zapewniało bardzo dobre wynagro-

dzenie i stabilizację finansową. Toteż 2 grudnia 1927 roku młody inżynier, w towarzystwie ojca Edwarda, pojawił się z pięknym bukietem kwiatów oraz zaręczynowym pierścieniem w domu państwa Teofilii i Franciszka Szubertów w Kielcach. Oświadczyny zostały przyjęte, a pierścionek ze szmaragdem, w kolorze oczu wybranki, szczęśliwy narzeczony założył na jej palec. Następnego roku, 26 grudnia, w kieleckiej katedrze młodzi zawarli sakramentalny związek małżeński.

Polska w tym czasie zaczyna odczuwać już światowy kryzys gospodarczy, który niesie ze sobą falę strajków i niezadowolenia społecznego. Bezrobocie zagląda w oczy coraz większej liczbie ludzi. Dramatyczny spadek cen cynku i ołowiu staje się przyczyną decyzji o zalaniu kopalni „Matylda”. Mój ojciec wraz z żoną udaje się na Śląsk, bo tu kryzys jest łagodniejszy.

Działająca od 1926 roku na Śląsku Silesian-American Corporation (SACO) była holdingiem, do którego należała między innymi Kopalnia Węgla Kamiennego *Giesche* (obecnie *Wieczorek*). Wokół niej na początku wieku wyrosły dwa nowoczesne osiedla robotnicze – Giszowiec i Nikiszowiec. Właśnie w tej kopalni Józef obejmuje jedną z kierowniczych funkcji. Jeszcze niedawno dotkliwie odczuwano tam brak polskiej kadry technicznej i stanowiska dozoru w śląskich przedsiębiorstwach nadal piastowali Niemcy. Jednak ta luka zaczyna się

stopniowo wypełniać. Pierwszym Polakiem na kierowniczym stanowisku w kopalni *Giesche* został inżynier Józef Lebiedzik, który w 1925 roku objął funkcję zastępcy dyrektora. Był on absolwentem Akademii Górniczej w Leoben. Równocześnie napływa polska inteligencja z terenów dawnych zaborów, austriackiego i rosyjskiego, wreszcie pierwsi absolwenci nowo powstałej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Ta rosnąca grupa wykształconych Polaków przyczynia się do formalnej polonizacji przedsiębiorstw, wprowadzając język polski jako powszechnie używany we wszelkich obszarach przemysłowej komunikacji. Inżynier Józef Lebiedzik w 1930 roku zostaje dyrektorem kopalni, zaś stanowisko jego zastępcy obejmuje inżynier Władysław Michejda, wywodzący się ze znanej cieszyńskiej rodziny polskich działaczy, absolwent uniwersytetów amerykańskich w Pittsburgu i Harvardzie. Oprócz wymienionych, na stanowiskach kierowniczych w kopalni *Giesche* w latach trzydziestych pracuje już 14 polskich inżynierów: Paweł Burz, Władysław Domino, Karol Fabris, Alojzy Godula, Franciszek Jopek, Karol Kaleta, Alfred Kwieciński, Jan Macuków, Adam Michalski, Michał Skrzywan, Aleksander Synowiec, Józef Szymaszek, Albin Wojakowski oraz mój ojciec, Józef Springer. Ich rodziny zaprzyjaźniły się i stworzyły silną polską społeczność inteligencką w Janowie i Giszowcu.

Aktywność społeczna tej grupy, pełnej energii i zapału, stała się najlepszym sposobem kształtowania patriotyzmu w nowej rzeczywistości wolnego kraju. Działają tu liczne stowarzyszenia, a dla ich członków język polski i śląska gwara stanowią jedność świadczącą o wspólnych korzeniach.

Józef i Stefania czują się tu wspaniale. Czy właśnie w tym miejscu przyjdzie ich rodzinie zapuścić korzenie?

ROZDZIAŁ V

WOJNA I NOWE CZASY

Lato 1939 roku było wyjątkowo gorące. Dopiekała aura, ale przede wszystkim atmosfera polityczna, której rosnąca temperatura przepowiadała nieuchronnie zbliżający się konflikt zbrojny. Kilka tygodni przed jego wybuchem moi rodzice podjęli decyzję o opuszczeniu Śląska i ponownym przeniesieniu się, wraz z całym dobytkiem, do Kielc, gdzie dziadkowie mieli dom. Była to alternatywa wobec propozycji amerykańskich przyjaciół z firmy Giesche, by wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Moja mama, będąc jedynaczką, nie zdecydowała się pozostawić rodziców samych w kraju.

Po przeprowadzce, chcąc ocalić najwarteściowsze przedmioty, rodzina umieściła je w piwnicy budynku przy ulicy Dużej, w bliskim sąsiedztwie katedry, zamurowane wejście maskując przywiezionym na zimę węglem. Taka przezorność okazała się istotna, gdyż wkrótce do Kielc wkroczyli Niemcy, którzy zaczęli wprowadzać nowe porządki.

Jednym z pierwszych działań okupantów było „prześwietlenie” mieszkańców – zaczęto

od nazwisk. Oczywiście nazwisko rodziców, Springer, stało się źródłem wielu problemów. Jego niemieckie brzmienie sugerowało takie właśnie pochodzenie rodziny, jednak ojciec stanowczo, mimo gróźb, odmówił wpisania się na volkslistę. Oświadczając, iż czuje się Polakiem, a jego rodzina od pokoleń jest polska, został przez Niemców uznany za Żyda i aresztowany. Osadzonego w krakowskim więzieniu na Montelupich cudem wyciągnęły energiczne zabiegi matki i dziadków. Dzięki przedstawieniu starych metryk i rodowodów, ojciec otrzymał od władz niemieckich status bezpaństwowca i, paradoksalnie wobec uprzedniej sytuacji – pewne przywileje. Najważniejszym była możliwość założenia własnego przedsiębiorstwa. Wprawdzie przywilej ten został obwarowany klauzulą informującą, iż po zwycięskiej dla Niemców wojnie firma ma przejść na własność niemieckich inwalidów wojennych, jednak nadzieja i głęboka wiara w pozytywną odmianę losu kazały zachować optymizm.

W takich okolicznościach zostało zarejestrowane przedsiębiorstwo o nazwie *Dyplomowany Inżynier Józef Springer i Spółka*, założone przez ojca i jego dwóch kolegów wysiedlonych uprzednio z Górnego Śląska. W zakres jego działania wchodził między innymi handel materiałami opałowymi, budowlanymi oraz nawozami sztucznymi. Już

pierwsza zima i zaopatrzenie Kielc w węgiel w 1939 roku pozwoliły firmie prężnie się rozwijać. Wkrótce w innych miastach Generalnej Guberni przedsiębiorstwo otworło swoje filie. Stworzone w ten sposób nowe miejsca pracy prócz utrzymania dawały ludziom bezcenny dokument o zatrudnieniu, który stanowił zabezpieczenie przed wywózką na roboty lub do obozu koncentracyjnego. Firma stopniowo stawała się swoistym „kołem ratunkowym” pozwalającym utrzymać się zatrudnionym, ale także przetrwać znajdującym się w wyjątkowo trudnej sytuacji, którym, podobnie jak więźniom oflagów, wysyłano paczki żywnościowe. Wieści o jej działaniu roznosiły się po okupowanym kraju i do Kielc ściągali ciągle nowi potrzebujący. Wprawdzie możliwości zapewnienia im pracy były ograniczone, lecz pomoc w postaci nawet fikcyjnego dokumentu o zatrudnieniu była na wagę złota.

To zakorzeniony w rodzinie Springerów duch patriotyzmu i szacunku wobec drugiego człowieka kazał właścicielom firmy ryzykować nawet własnym życiem, by pomóc, komu tylko się da. Jego nośnikiem niewątpliwie był mój dziadek, Edward, związany od przełomu XIX i XX wieku z działalnością polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” na terenach byłej Galicji. Duch ten pozwolił jego synowi, Józefowi wraz ze współnikami, a przede wszystkim z wujkiem Karolem, pod-

jąc decyzję o udzieleniu wsparcia działającej w podziemiu Polsce Walczącej oraz Armii Krajowej. Stało się to możliwe dzięki rosnącym dochodom firmy i objęte było absolutną tajemnicą. Wykrycie takiej działalności przez okupanta mogło skutkować natychmiastowymi wyrokami śmierci. Toteż ryzykowne akcje, karkołomne operacje przeprowadzane z narażeniem życia pozostały w ukryciu przez wiele lat – wszak sprzyjał temu klimat polityczny czasów powojennych. Dlatego właśnie przez całe dziesięciolecia ja sam niczego nie byłem świadom, póki córka wujka Karola Fabrisa, moja kuzynka Hania, nie opowiedziała mi historii, której była świadkiem:

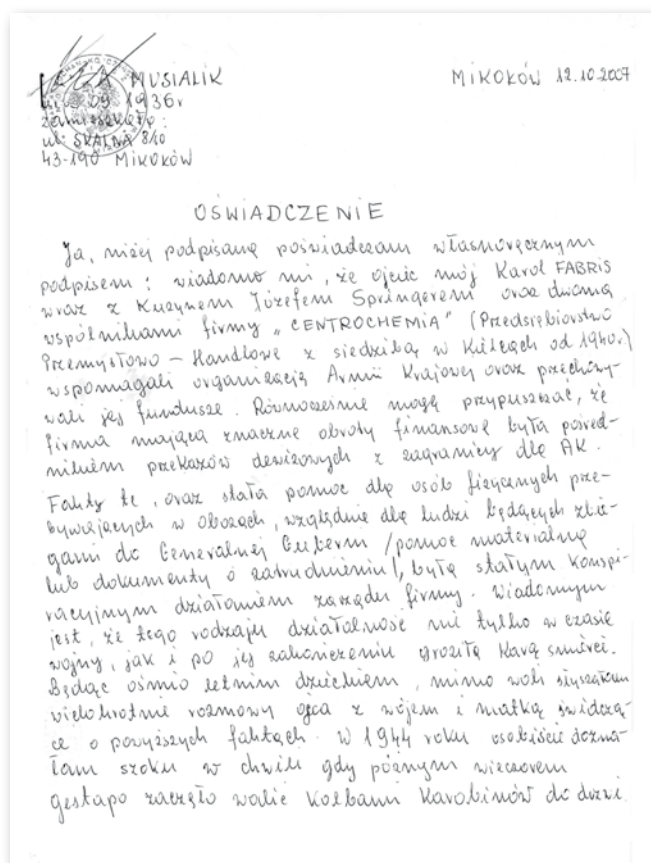
Mikołów, 12.10.2007

Oświadczenie

Ja, niżej podpisana poświadczam własnoręcznym podpisem: wiadomo mi, że ojciec mój Karol Fabris wraz z kuzynem Józefem Springerem oraz dwoma współnikami firmy „Centrochemia” (Przedsiębiorstwo Przemysłowo-Handlowe z siedzibą w Kielcach od 1940 r.) wspomagali organizację Armii Krajowej oraz przechowywali jej fundusze. Równocześnie mogę przypuszczać, że firma mająca znaczne obroty finansowe była pośrednikiem przekazów dewizowych z zagranicy dla AK. Fakty te, oraz

stała pomoc dla osób fizycznych przebywających w obozach, względnie dla ludzi będących zbiegami do Generalnej Guberni (pomoc materialna lub dokumenty o zatrudnieniu) była stałym konspiracyjnym działaniem zarządu firmy. Wiadomym jest, że tego rodzaju działalność nie tylko w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu groziła karą śmierci. Będąc ośmioletnim dzieckiem, mimo woli słyszałam wielokrotnie rozmowy ojca z wójem i matką świadczące o powyższych faktach. W 1944 roku osobiście doznałam szoku w chwili, gdy późnym wieczorem gestapo zaczęło walić kolbami karabinów do drzwi. Ojciec zamiast natychmiast otwierać, błyskawicznie instruował matkę co ma robić z „tą” tekturową kopetą. W paczce tej znajdowały się fundusze AK. Matka zaniósła szarą grubą kopertę do łazienki i w toalecie spuściła wodę. Ojciec otworzył drzwi, a gestapo z krzykiem upomniało nas, że zasłony są nieszczelne i widać światło na zewnątrz domu. Tato załagodził sytuację i Niemcy odeszli. Wtedy rodzice i ja zrozumieliśmy z rozpaczą jakie straty finansowe ponosi AK oraz moja rodzina. Ojciec wszedł do łazienki i po chwili woła matkę do siebie pokazując na muszlę klozetową, która wypełniona była pływającymi zielonymi banknotami, a rozklejona koperta zatykała odpływ. Rodzice wyłowili tę drogocenną zawartość po czym suszyli i prasowali do rana mokre pieniądze. Historę tę, pamiętam żywo do

dziś i choć brzmi teraz anegdotycznie, to wtedy sytuacja ta budziła w nas przerażenie i grozę. Czym jestem starszą, tym bardziej wspominam odpowiedzialnych ludzi, którzy w okresie okupacji w konspiracji dokonywali czynów i gestów pomocy, które mogły grozić im ciężkimi konsekwencjami aż do utraty życia.



Ojciec zamiast natychmiast odwieźć, kłopotliwie
instruował matkę co ma zrobić z tą "teksturą kopertą".
W paczce tej znajdowały się fundusze A.K. Matka, zamiast
sabrać grubą kopertę do Tarnobrzegu i w toalecie spuszczać
Ojciec otworzył drzwi a gestapo z korytkiem upominało nas,
że jesteśmy są miszmalce i widac światło ma znowu dla domu
tato ratagodził sytuację i minuty odeszli. Wtedy rodzice i ja
rozumieliśmy z rozpaczą jakie straty finansowe ponosi A
ona moja rodzina. Ojciec wszedł do Tarnobrzegu i po chwili
wrócił matkę do siebie pokazując na muskłę kłopotliwą
którą wypełnioną była pływającymi zielonymi kankietami
a wklejona kopertą zatytułowaną "odpływ". Rodzice wytonili
tę drogozoną zawartość po czym suszeli i prasowali
do rangi motyle przynajmniej. Historię tą, pamiętam
żywo do dziś i choć brami żerak anegdotycznie, to
wtedy sytuację to ludzkie w nas przeżycie i grozę.
Czym jestem starszy, tym bardziej wspominać
odpowiedzialnych ludziach którzy w chwile okupacji
w konspiracyjce dochowywali cennych i gestów pomocy
które mogły grozić im egzekucją klawiszową
aż do stracy życia.

Janusz Musielak



Wraz z mijającymi latami okupacji na frontach, zwłaszcza na froncie wschodnim, zmienił się stopniowo układ sił, dając odrobinę nadziei na lepsze dni. Pierwsze miesiące 1943 roku wniosły w progi naszego domu zmiany, przyniosły momenty radosne, ale i smutne. 3 kwietnia przyszedłem na świat ja, lecz niestety, gasło życie mojego dziadka, Edwarda Springera. Odszedł w sześć tygodni po moich narodzinach, w wieku 78 lat, i został pochowany w rodzinnym grobowcu Szubertów na starym cmentarzu w Kielcach. Z dała od ukochanej żony Berty, córek i przodków spoczywających w Kałuszu. Podobno dziadek Edward pozostawił mi w spadku wiele cech swojego charakteru. Teraz, upamiętniając jego postać, mogę bez wahania powiedzieć, że jestem dumny z takiego genetycznego przekazu.

Pod koniec 1943 roku zaczęły docierać optymistyczne wieści z umęczonej wojną Europy. W kolejnym roku pod wpływem rosnącej nadziei, ale i obaw o kształt przyszłości, rodziły się wspaniałe, lecz nieraz tragiczne w efekcie działania. Do Kielc przybywali znajomi rodziców, którzy w Powstaniu Warszawskim utracili wszystko. Znalazłszy się bez środków do życia, potrzebowali pomocy. Wśród nich był profesor Bolesław Krupiński z żoną. Mój ojciec, mając wspomniane już możliwości, także im wystawiał dokumenty, organizował kwaterę, dał zatrudnienie.

Niemcy zaczęli się stopniowo wycofywać. Napierające wojska sowieckie miały w miarę łatwe zadanie – oddziały wspomagane były lotnictwem. Jednak zamiana okupanta na wyzwoliciela przyniosła dramatyczne skutki dla Kielc. Decyzje komunistycznych dowódców i ich gorliwość w niszczeniu obiektów sakralnych spowodowała atak na serce miasta – zabytkową barokową katedrę. Bomby zapalające, mijając nieco wyznaczony cel, posypały się na budynki oddalone o kilkaset metrów od świątyni. Wśród nich na dom moich dziadków. Nalot wywołał pożar, który strawił także ten budynek. Bogu dzięki, ocalała katedra i nasz drugi dom, zapewniający nam schronienie. Niestety, całe wyposażenie domu dziadków, wszystkie meble oraz koncertowy fortepian, ukochany instrument mojej mamy, uległy zniszczeniu. Pozostały zgliszcza i gruz, pod którymi w piwnicach, na szczęście, zachowały się przedmioty przezornie zamurowane na początku wojny.

Kilka tygodni po wycofaniu się Niemców ze Śląska rodzice zdecydowali się na powrót do Katowic. Lata międzywojenne były w ich życiu okresem twórczego dostatku, a wyzwolenie dawało nadzieję na kontynuację rozpoczętego dzieła w wolnej Polsce. Tak jak wszyscy, nie mieli pojęcia, jakie zmiany szykuje ludowa władza kształtowana przez odpowiednio wyszkolonych za wschodnią granicą instruk-

torów. Nowe socjalistyczne porządki nakazywały wyeliminowanie potencjalnych wrogów państwa i ustroju. Wsadzano ich do więzień, masowo wywożono na wschód do obozów pracy, niejednokrotnie skazywano na śmierć. Czego mógł się spodziewać w takiej sytuacji człowiek o nazwisku Springer, prowadzący przez lata okupacji niemieckiej małe przedsiębiorstwo? Jedynym ratunkiem była opatrzność Boża. Pomoc, jaką przez całą okupację niósł mój ojciec wielu ludziom, chroniąc ich od najgorszego, miała teraz przynieść ratunek nam. Ocaleni od śmierci, składający podczas przesłuchiwań pisemne oświadczenia o działalności ojca, spowodowali zmianę decyzji władz wobec naszej rodziny. Pozostawiono nas w spokoju, a nawet wyrażono zgodę na prowadzenie istniejących przedsiębiorstw, jednego o nazwie „Centrochemia”, drugiego „Skalenit”, zajmującego się odkrywkową eksploatacją surowców mineralnych i ich przetwarzaniem. Centrala firmy znajdowała się w Katowicach przy Placu Wolności, dokąd została przeniesiona z Kielc, pozostawiając swoje oddziały w innych miastach, z Kielcami na czele. Tam też eksploatowano kamieniołomy „Wietrznia” i „Kadzielnia”, przetwarzając na miejscu wydobyte surowce w zapleczu przeróbczym.

Zamieszkaliśmy w Katowicach w pięknej kamienicy, która znana była rodzicom sprzed

wojny. Usytuowana pomiędzy centrum miasta a Parkiem Kościuszki, miała okna skierowane wprost na promenadę. Był to dom marzeń, którego mieszkańcy powracający jak ptaki, tym razem po przerwie spowodowanej wojną, nieśli radość i wiarę w nadchodzące, chociaż niełatwe dni. W dzielnicy tej mieszkało wielu znajomych i przyjaciół rodziców. Ja sam także wkrótce pozyskałem własnych, aczkolwiek zanim rozpocząłem tu nowy rozdział swego życia, ówczesne lata mojego dzieciństwa dzieliłem między nowy dom i pobyt w Kielcach u babci Tosi. Spowodowały to przemiany ustrojowe, które coraz silniej ingerowały we wszystkie obszary życia. Dzięki operatywności ojca obie kierowane przez niego firmy rozwijały się prężnie, przynosząc znaczne dochody. Optymizm burzyły jednak pomruki nadchodzącej ze wschodu katastrofy. Nowy ład europejski oddał nasz kraj pod władanie wielkiego i bezwzględnego sąsiada, z którym do ostatnich swoich dni walczyli prawdziwi patrioci, „żołnierze wyklęci”, tysiącami działający w latach powojennych w podziemnych organizacjach. Zaś społeczeństwo karmione było spreparowanymi komunikatami o wrogach Polski, a powszechne donosicielstwo, kłamstwa i polowania na przeciwników nowego ustroju stwarzały atmosferę ciągłego zagrożenia. Propaganda była obecna wszędzie, w przedszkolach, szkołach, zakładach pracy,

instytucjach kulturalnych, a nawet kościołach. Patriotyczne wychowanie nowego pokolenia stało się dla rodziców zadaniem, któremu wielu z nich nie było w stanie sprostać. Prowadzone w domach w obecności dzieci rozmowy omijały drażliwe tematy, by naturalna dziecięca ciekawość nie doprowadziła do nieprzewidzianych konsekwencji. Wszystkie te okoliczności spowodowały, że moi rodzice postanowili, iż zamiast chodzić do przedszkola, rozpocznę swoją edukację pod okiem mamy i babci Teofilii, która sprawowała nade mną pieczę głównie w czasie letnich wakacji.

Był to dla mnie czas niezwykły i szczęśliwy. Babcia Tosia, zabierając mnie na wakacje do małych podkieleckich miejscowości, wprowadziła mnie we wspaniały świat przyrody. To dzięki niej mogłem poznawać bogactwo lasów, łąk, zasobnej w ryby i raki rzeki Bobrzy, ale także świat zwierząt hodowanych w gospodarstwach, w których wynajmowaliśmy nasze wakacyjne lokum. Myślę, że właśnie wtedy rozbudziła się we mnie dusza wędrowca i obieżyświata. Pełnymi garściami czerpałem ze swobody, jaką dawał pobyt w Kielcach i na wsi, a nawet nieraz tej wolności nadużywałem, co powodowało, że surowa i wymagająca babcia niejednokrotnie musiała stosować wobec mnie kary. Czymże jednak było klęczenie na grochu wobec ciekawości świata rozbudzonej w umyśle sześciolatka! Wkrótce, gnany

nieznaną siłą i zapominając o wszelkich zakazach, ponownie ruszałem przed siebie. Niestety, najdalsza wyprawa, na jaką się wybrałem, namawiając pięcioletniego towarzysza zabaw, okazała się ostatnią. Chociaż była fascynująca przygodą, całkowicie wyczerpała cierpliwość babci Tosi...

Zaczął się od niewinnego pomysłu. Nikomu nic nie mówiąc, ruszyliśmy sprzed domu babci w Kielcach, gdzie się bawiliśmy, w stronę Karczówki, widocznego opodał wzgórza, na którym znajdował się kościół i klasztor. Ale to nie ono było celem naszej wyprawy. Przypomniałem sobie po drodze, że za wzgórzem jest podobno miejsce o intrygującej nazwie „Siedem źródeł”. Trzeba było je koniecznie zobaczyć! Ruszając dalej, nieświadomie weszliśmy na teren ćwiczeń wojskowych. Gdy niespodziewanie ujrzelśmy biegnących w naszym kierunku żołnierzy, byliśmy przekonani, że chcą nas złapać. Rzuciliśmy się do ucieczki przez łąki, zatrzymując się dopiero w pobliskiej wsi, w Białogonie. Był to dla mnie teren nieznan, ale wiedziałem, że sąsiednia miejscowość to Słowik, a stamtąd będzie już blisko do młyna na Sitkówce. Błyskawicznie więc zrodził się w mojej głowie plan powrotu do Kielc, ale mając na uwadze odległość i kondycję młodszego kolegi, zarządziłem drzemkę w zbożu. Gdy mój towarzysz się obudził, ruszyliśmy w stronę miasta, nie mając świadomości, że tam już

wszystkie możliwe służby poszukiwały dwóch zaginionych małych chłopców. Samodzielnie dotarliśmy do celu, a czekająca przed domem babcia, widząc nas całych i zdrowych, z radości zapomniała o przygotowanym na niesfornego wnuka pasku. Jej ulga i szczęście nie miały granic, jednak nie omieszkła o całym zdarzeniu powiadomić moich rodziców. I tak skończyła się moja swoboda i samowola, na dobre wróciłem do Katowic.

Nie odebrałem jednak tej zmiany w moim życiu jako kary. W Katowicach czekały mnie inne atrakcje. Wprawdzie przebywanie na łonie przyrody ograniczyło się do wyjść do pobliskiego Parku Kościuszki i na Muchowiec, za to więcej zacząłem obcować z prawdziwą sztuką. Moim elementarzem stał się wydany w 1904 roku album pt. „Andriolli w sztuce i życiu społecznym”, zawierający 278 rysunków, które stanowiły ilustracje do twórczości Mickiewicza, Słowackiego, Kraszewskiego, Orzeszkowej i wielu innych znakomitości polskiej literatury XIX wieku, a także autorów obcych – Szekspira, Hugo, Dumasa, Dickensa... W czytaniu nie byłem jeszcze zbyt biegły, do szkoły miałem zostać przyjęty dopiero za kilka miesięcy. Ale moja wspaniała mama знаła dobrze literaturę, toteż nie mogłem się doczekać, kiedy, siadając obok niej nad otwartym albumem Andriollego, z wypiekami na twarzy gotów byłem słuchać związanych z ilustracjami

literackich opowieści, odpowiednio dobranych dla sześciolatniego malucha. Tak spędzaliśmy wiele czasu.

Mama, zajmując się mną całymi dniami, przybliżała mi wiedzę o całym otaczającym mnie świecie. Ciągłe się od niej dowiadywałem czegoś nowego i interesującego, tak jak podczas niezapomnianej podróży do Krakowa.

Czekałem na nią niecierpliwie. Ledwie wsiedliśmy do pociągu, mama rozpoczęła swoją gawędę o tym, co pojawiało się za oknami wagonu. Pierwsza ukazała się fabryka porcelany „Giesche”, zaraz potem, przed stacją Szopienice – okazały budynek o niespotykanej architekturze. „Widzisz, synku – powiedziała mama – tu mieszkaliśmy przed drugą wojną światową. Były to najpiękniejsze lata naszego życia. Młodzi, wykształceni, pełni zapału do pracy zawodowej i społecznej w wolnej nareszcie Polsce! Tu w 1931 roku przyszedł na świat twój starszy brat, Edward. W pobliskiej kopalni „Giesche” pracował tato. Tam też pracowali inni polscy inżynierowie, którzy wraz z nami tworzyli jedną wielką rodzinę. Mieszkaliśmy wówczas blisko, spędzaliśmy wspólnie wiele czasu. Zresztą także dziś wielu spośród tych bliskich znajomych bywa w naszym domu. Do ich grona należy przecież twoja ciocia, do której się właśnie wybieramy.”

Słowa mamy mnie zaintrygowały, bo uświadomiłem sobie, że Maria Skrzywan, moja mat-

ka chrzestna, mieszka w Krakowie z dwoma synami, Michałem i Wojtkiem. Co ona ma wspólnego z kopalnią? A może jej mąż, tato chłopców? Gdzie on jest? „Widzisz synku – kontynuowała mama – to bardzo smutna historia. Inżynier Michał Skrzywan został zamordowany na Nikiszowcu. Zginął na stanowisku pracy, strzelono mu w tył głowy. Tak naprawdę – nie wiadomo, dlaczego. Mówiono wówczas, że to Niemcy mieszkający na Śląsku przygotowywali sobie grunt przed zbliżającą się wojną... Może, gdy będziesz starszy, dowiesz się czegoś więcej na ten temat...” Zamilkliśmy przejęci. Biedna ciocia Maria...

Minęły lata. Jej synowie wyjechali do Stanów Zjednoczonych, potem ona do nich dołączyła. Ja pozostałem z nierozwiązaną zagadką. Z historią, która zasługiwała na lepsze zakończenie, niż zapomnienie.

ROZDZIAŁ VI

NIKISZOWIEC

Początek XXI wieku. Oglądam wspaniałe fotografie wykonane przez mojego ojca w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia. Na nich – Nikiszowiec, należący wówczas do gminy Janów. To prawdziwa dokumentacja tamtych czasów. Sentyment rodzinny każe mi zainteresować się bliżej miejscami tak ważnymi dla moich rodziców. Choć to górnicze osiedle jest zaniedbane i odpycha złą sławą, przywożę tu wielokrotnie swoich znajomych, gości z kraju i zagranicy. Wraz z synem, Szymonem, oprowadzamy ich po dzielnicy i sąsiednim Giszowcu – mieście-ogrodzie, w dużej części okrutnie zrównanym z ziemią przez decydentów z poprzedniego systemu politycznego.

Nikiszowiec i Giszowiec niezmiennie oczarowują przybyszy, podobnie jak historia ich powstania, rozwoju i funkcji, jaką pełniły przed prawie stu laty. Rosnąca popularność osiedli, budząca się z długiego snu odpowiedzialność społeczna zaczynają czynić cuda. Nikiszowiec to już nie skansen, w którym można kręcić filmy. Do świadomości społecznej docierają poję-

cia: rewaloryzacja, rewitalizacja... Przecież tu także kończy się epoka industrialna. Co dalej?

Zbliżają się obchody stulecia osiedla. Rodzą się pomysły, władze miasta zaczynają spotykać się z mieszkańcami dzielnicy, bo o Nikiszowcu jest już coraz głośniej w prasie. Prowokujące artykuły zaangażowanej w sprawę pani redaktor Anny Malinowskiej z *Gazety Wyborczej* nie pozostawiają nikogo obojętnym. Ruch oznacza życie, i właśnie ono budzi się w dzielnicy i wokół niej. Okolicznościowy Społeczny Komitet Obchodów 100-lecia Nikiszowca jesienią 2008 roku przekształca się w stowarzyszenie „Razem dla Nikiszowca”, które działa pod przewodnictwem pani Elżbiety Zacher i z silnym wsparciem proboszcza parafii świętej Anny. Przyciąga ludzi, którzy zauroczeni starym górniczym osiedlem, pracują na jego rzecz dla zachowania bogatej kultury i tradycji tego miejsca. Ja także dołączam do ich grona. Jedną z bardziej znaczących inicjatyw stowarzyszenia jest utworzenie ściany pamięci. Powstaje ona na murze przykościelnego ogrodzenia, a poświęcona zostaje wszystkim, o których wiadomo, że, pracując na miejscowej kopalni, zginęli na stanowisku pracy. To wspaniałe dzieło, które nie pozwala im zagaść w niepamięć.

Wówczas powraca do mnie wspomnienie z dzieciństwa – dramatyczna historia śmierci inżyniera Michała Skrzywana. Wiem tylko

tylę, że został zastrzelony na stanowisku pracy. Rozpaczam więc poszukiwania – może kopalniane archiwum lub księgi parafialne zawierają jakieś materiały na temat tego zdarzenia? Proszę o pomoc Elżbietę Zacher, wszak przez długie lata była pracownikiem kopalni. Niestety, pomimo jej starań przez kilka lat nie udaje się niczego odnaleźć. Sprawa utknęła w martwym punkcie.

Straciłem już prawie całą nadzieję, gdy pewnego wieczoru zadzwonił telefon. Rozmówca, pan Zbigniew Niemyjski, okazał się pracownikiem przykopalnianej elektrowni oraz członkiem koła PTTK działającego przy kopalni *Wieczorek*. Wici rozesłane przez Elżbietę dotarły do właściwej osoby. Pan Niemyjski, zaintrygowany moimi poszukiwaniami postanowił się w nie włączyć. Opowiedziałem mu, jakie informacje do mnie doszły z ust rodziców i zaznaczyłem, że jedna z hipotez mówi o Niemcu, podwładnym inżyniera Skrzywana, który, przyłapany przez zwierzchnika na działaniach sabotażowych, zastrzelił go. Jednak wszystkie te dane wymagały sprawdzenia.

Po kilku tygodniach pan Zbigniew odezwał się ponownie. Byłem mile zaskoczony jego skutecznością. Okazało się, że natrafił na sporo materiałów związanych z tą niezwykle sprawą. W książce kwalifikacji prowadzonej w Elektrowni św. Jerzego od 1920 roku odnalazł wpis z 1936 roku dotyczący zatrudnienia Michała

Skrzywana na stanowisku kierownika. Książka ta zawiera rejestr wszystkich pracowników dozoru nominowanych na kierowników, ich zastępców, asystentów, sztygarów zmianowych i dozorców. Dotarł również, a może przede wszystkim, do relacji prasowych. W ten sposób poznałem przebieg historii, która w 1937 roku stała się wstrząsem dla społeczności Katowic, a zwłaszcza dla pracowników kopalni w Janowie. Zszokowała środowisko młodej polskiej inteligencji, z zapalem angażującej się w odbudowę wykształconej warstwy śląskiego społeczeństwa. Odtworzyłem w wyobraźni absurdalność wydarzenia, które zrujnowało życie mojej cioci Marii i jej dzieci.

Inżynier Michał Skrzywan zniknął w piątek 29 stycznia 1937 roku podczas pełnienia obowiązków zawodowych. Poszukiwania rozpoczęli współpracownicy, uczestniczyła w nich także jego żona. Trwały do 3 nad ranem. O świcie na terenie elektrowni odnaleziono ciało inżyniera, który zabity strzałem w tył głowy został wrzucony do kanału. Tego samego dnia zatrzymano podwładnego Michała Skrzywana, podejrzanego i, jak się okazało, winnego zbrodni. Materiały prasowe, dostarczone przez pana Zbigniewa Niemyjskiego, stanowią prawdziwą kronikę zdarzeń związanych z tym zabójstwem. Przez szereg następujących po sobie dni przebieg wydarzeń relacjonowano w ukazującym się codziennie w Katowicach czasopiśmie *Polo-*

nia redagowanym przez Wojciecha Korfantego. Sprawcę osądzono, a prasowe relacje, wówczas tak gorące, dziś są tylko śladem historii, której nikt nie pamięta.

Zamieszczone poniżej kopie prasowych artykułów niech same przedstawiają opowieść o Michale Skrzywanie.

Śp. Michał Skrzywań

Dnia 29 stycznia br. zmarł śmiercią tragiczną w 37-ym roku życia śp. Michał Skrzywań, inżynier elektryk, kierownik elektrowni św. Jerzego w Janowie na Górnym Śląsku, podporucznik W.P. i uczestnik walk o niepodległość.

Urodzony dnia 26 stycznia 1900 r. we Lwowie śp. Zmarły Szkołę Średnią ukończył w Odesie (Gimnazjum im. Richelieu). W kwietniu 1919 r. jako ochotnik dywizji gen. Żeligowskiego opuszcza to miasto udając się do kraju, poczem wstępuje do Szkoły Oficerskiej Wojsk Lotniczych w Poznaniu, którą kończy w lipcu 1920 roku w stopniu podchorążego. W tym roku również zapisuje się na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. W czasie studiów akademickich śp. Michał Skrzywań daje się poznać swemu środowisku jako jednostka o nieprzeciętnej wartości moralnej, wysoko uspołeczniona i pełna energii.

Pelen zapалу staje do pracy na terenie akademickim. Wielokrotnie jest powoływany

na członka zarządu organizacji studenckich, w których odgrywa rolę bardzo czynną. Ulubioną dziedziną działalności śp. Zmarłego była organizacja życia sportowego. Jako prezes Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie śp. M. Skrzywan rozwija na tym polu bardzo owocną działalność. Jego zasługą jest m.in. szereg inwestycji sportowych Warszawskiego Akad. Związku Sportowego (korty tenisowe, stadion, trybuny w parku Paderewskiego), poza tym jest on organizatorem Centrali Polskich Akademickich Związków Sportowych. Bierze również czynny udział w organizacji Międzynarodowego Kongresu C.I.E. i w następstwie zostaje sekretarzem tego Kongresu. Te wszystkie obowiązki rozumiał zawsze i traktował jako pracę społeczną. Nie przeszkadzała Mu ona jednak w pracy nad sobą i w zdobywaniu wiedzy fachowej. W roku 1929 kończy Politechnikę Warszawską i poświęca się już całkowicie pracy zawodowej w umiłowanym przez siebie zakresie elektrotechniki. Pracę Inżynierską śp. M. Skrzywan rozpoczął w Stowarzyszeniu Dozoru Kotłowego w Katowicach. Stąd zaś poszedł do firmy Giesche Sp. Akc. obejmując stanowisko kierownika ruchu w kopalni „Janów”. W cztery lata później zostaje przeniesiony do kopalni Kleofas i pozostaje tam do kwietnia r. 1936, po czym obejmuje stanowisko kierownika elektrowni św. Jerzego w Janowie, stanowiącej własność tejże Spół-

ki. Na tym stanowisku otoczony powszechnym szacunkiem i uznaniem otoczenia spotyka się ze śmiercią z ręki skrytobójczej. Śmierci Jego towarzyszy powszechny żal ludzi, którzy mieli możliwość poznać cenne zalety Jego umysłu serca i charakteru.

Cześć Jego pamięci!

Ś. P. MICHAŁ SKRZYWAN

Dnia 29 stycznia r. b. zmarł śmiercią tragiczną w 37-ym roku życia ś. p. Michał Skrzywan, inżynier elektryk, kierownik elektrowni św. Jerzego w Janowie na Górnym Śląsku, podporucznik W. P. i uczestnik walk o niepodległość.

Urodzony dnia 26 stycznia 1900 r. we Lwowie ś. p. Zmarły Szołę Średnią ukończył w Odesie (Gimnazjum im. Richelieu). W kwietniu 1919 r. jako ochotnik dwójki gen. Żeligowskiego opuścił to miasto udając się do kraju, poczem wstępuje do Szkoły Oficerskiej Wojsk Lotniczych w Poznaniu, którą kończy w lipcu 1920 roku w stopniu podchorążego. W tym roku również zapisuje się na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. W czasie studiów akademickich ś. p. Michał Skrzywan daje się poznać swemu środowisku jako jednostka o nieprzeciętnej wartości moralnej, wysoko uspołeczniona i pełna energii.

Pełen zapału staje do pracy na terenie akademickim. Wielokrotnie jest powoływany na członka zarządu organizacji studenckich, w których odgrywa rolę bardzo czynną. Ulubioną dziedziną działalności ś. p. Zmarłego była organizacja życia sportowego. Jako prezes Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie ś. p. M. Skrzywan rozwija na tym polu bardzo owocną działalność. Jego zasługą jest m. in. szereg inwestycji sportowych Warszawskiego Akad.

Związku Sportowego (korty tenisowe, stadion, trybuny w parku Paderewskiego), poza tym jest on organizatorem Centrali Polskich Akademickich Związków Sportowych. Bierze również czynny udział w organizacji Międzynarodowego Kongresu C. I. E. i w następstwie zostaje sekretarzem tego Kongresu. Te wszystkie obowiązki rozumiał zawsze i traktował jako pracę społeczną. Nie przeszkadzała Mu ona jednak w pracy nad sobą i w zdobywaniu wiedzy fachowej. W roku 1929 kończy Politechnikę Warszawską i poświęca się już całkowicie pracy zawodowej w umiłowanym przez siebie zakresie elektrotechniki. Pracę inżynierską ś. p. M. Skrzywan rozpoczął w Stowarzyszeniu Dozoru Kotłowego w Katowicach. Stąd zaś przeszedł do firmy Giesche Sp. Akc. obejmując stanowisko kierownika ruchu w kopalni „Janów”. W cztery lata później zostaje przeniesiony do kopalni Kłuska i pozostaje tam do kwietnia r. 1936, po czym obejmuje stanowisko kierownika elektrowni św. Jerzego w Janowie, stanowiącej własność tejże Spółki. Na tym stanowisku otoczony powszechnym szacunkiem i uznaniem otoczenia spotyka się ze śmiercią z ręki skrytobójczej. Śmierci Jego towarzyszy powszechny żal ludzi, którzy mieli możliwość poznać cenne zalety Jego umysłu serca i charakteru.

Cześć Jego pamięci!





Dnia 29-go stycznia 1937 r. zmarł śmiercią tragiczną na posterunku swojej pracy zawodowej

śp. Inż. Michał Skrzywan

kierownik elektrowni św. Jerzego w Janowie, podporucznik W. P. i uczestnik Walk o Niepodległość. Odszedł od nas człowiek szlachetny i wielkiego serca inżynier zdolny i sumienny. Kolega zuchy i kryształowego charakteru, długoletni pracownik na niwie społecznej i gorący patriota.

Wyprowadzenie zwłok nastąpi we wtorek, dnia 2-go lutego 1937 r., o godz. 13-tej z kościoła Leczniczy Brackiej przy ul. Francuskiej w Katowicach do kościoła Mariackiego na napojeństwo żałobne, skąd zwłoki przewiezione zostaną do Krakowa.

Pogrzeb w Krakowie odbędzie się w środę, dnia 3-go lutego 1937 r. o godz. 15-tej z kaplicy na cmentarzu Rakowickim do grobowca rodzinnego,

O czem zawiadamia w smutku pogrążone

**Grono Inżynierskie Kopalni Giesche
w Janowie.**

Zamordowanie kierownika elektrowni

kopalni „Giesche“ w Nikiszowcu

W piątek wieczorem rozeszła się po Nikiszowcu, miejscowości położonej w bezpośrednim sąsiedztwie Katowic, wiadomość o tajemniczym zaginięciu Inż. Michała Skrzywana. Inż. Skrzywan, który mieszkał w wille służbowej w Nikiszowcu, wyszedł tego dnia jak zwykle do pracy do elektrowni, której był kierownikiem. Elektrownia należy do kopalni węgla „Giesche“ w Nikiszowcu i obsługuje kilka zakładów przemysłowych, należących do koncernu. Około godz. 16-tej na elektrowni zauważono brak kierownika Skrzywana, który wyszedł przed chwilą ze swego gabinetu i już więcej nie wrócił. O tajemniczym zaginięciu inżyniera zawiadomiono natychmiast służbę elektrowni oraz rodzinę zaginionego, która podała, iż inż. Skrzywan nie wrócił jeszcze do domu. Rozpoczęły się poszukiwania po elektrowni i okolicy, które trwały

przez całą noc. Dopiero nazajutrz, w sobotę, około godz. 5-tej jeden z szukających robotników zajrzał do kanału, znajdującego się w hali elektrowni. Tam właśnie leżał inż. Skrzywan, który już nie żył. Miał on przebitą skroń, jakimś ostrym narzędziem. Cios ten musiał wywołać natychmiastową śmierć inżyniera. O wypadku zawiadomiono natychmiast miejscowy posterunek policji i wydział śledczy w Katowicach, którego urzędnicy przybyli natychmiast na miejsce wypadku, z głównym komendantem Żółtaszkiem i nadkomisarzem policji Brodniewiczem na czele.

Wszelkie okoliczności, w jakich poniosł śmierć inż. Skrzywan, wskazują na to, iż chodzi tu o ohydny zbrodnie, dokonaną przez nieznaną do tej pory osobę. W każdym razie musiał to być ktoś dobrze obeznany z rozkładem elektrowni, do której mieli dostęp jedynie robotnicy.

Zamordowany inż. Skrzywan, który liczy lat 37, pochodzi ze Lwowa, a od kilkunastu lat pracował w elektrowni kopalni „Giesche“. Jak nas informują, zabity cieszył się wszędzie dobrą opinią.

Z dotychczasowych wyników śledztwa wypływa, iż ma się tu do czynienia z rabunkiem. Inż. Skrzywan otrzymał bowiem w piątek pensję za styczeń w wysokości ponad 1000 zł., którą mu zrabowano.

Jakkolwiek zamordowany nie miał z robotnikami żadnych sporów, nie jest rzeczą wykluczoną, iż zbrodni mógł dokonać ktoś z zemsty. W każdym razie dokonał ją ktoś z miejscowych. Do elektrowni nie miał bowiem nikt z obcych dostępu. Poza tym zbrodniarz musiał mieć wiele

czasu, by wrzucić zwłoki do kanału po unieruchomionym kominie, gdyż musiał wydłubać dość wielki otwór w murze. Zabity osierocił żonę i dwoje dzieci w wieku od 1 do 6 lat.

Aresztowanie mordercy śp. inż. Skrzywana

Jest nim pomocnik jego, elektrotechnik Hopf

Wiadomość o ohydny zamordowaniu dyrektora elektrowni kopalni Giesche w Janowie inż. **Michała Skrzywana** wywołała na Górnym Śląsku, gdzie śp. Skrzywan był znany ze swej pracy społecznej, przynębiające wrażenie.

W ciągu soboty bawili na miejscu zbrodni prokurator Sądu Okręgowego w Katowicach, sędzia śledczy Sądu Okręgowego w Katowicach i kierownik Wydziału Śledczego w Katowicach, którzy na miejscu wszczęli energiczne śledztwo. Jak wykazały prowizoryczne oględziny zwłok śp. Skrzywan został zamordowany najprawdopodobniej **siekierą**.

Jak już wspominaliśmy, śp. dyrektor Skrzywan miał przy sobie w chwili zamordowania go około 1.000 zł., które pobrał tytułem pensji. Pieniądze te zabrał morderca. Ustalono również, że z biura elektrowni zginęła kurtka i czapka zamordowanego.

W wyniku energicznych dochodzeń policji udało się ująć sprawcę ohydnej zbrodni w osobie pomocnika ś. p. inż. Skrzywana, elektrotechnika **Edwarda Hopfa**, liczącego 36 lat i pochodzącego z Aleksandrowa. Zaznaczyć należy, że Hopf na te-

renie elektrowni nie cieszył się sympatią, ani wśród kolegów, ani też wśród podwładnych.

Mordercę aresztowano w sobotę wieczorem. Podczas przesłuchania wykazywał on wielkie zdenerwowanie i niepokój. Na polecenie sędziego śledczego zatrzymano go w areszcie. Początkowo nie chciał się przyznać do popełnienia zbrodni, dopiero wczoraj rano w ogniu krzyżowych pytań załamał się i przyznał się do morderstwa, przy czym jako jedyny powód zbrodni, podał chęć zajęcia posady po śp. inż. Skrzywanie.

Dla upozorowania morderstwa rabunkowego zbrodniarz udał się do biura swej ofiary, zabrał jego kurtkę i czapkę, a poza tym z kieszeni ubrania inż. Skrzywana zabrał około 1000 zł. Pieniądze morderca po przyznaniu się zwrócił.

Jak następnie ustalono, w piątek popołudniu, kiedy nagle zniknięcie inż. Skrzywana wywołało w elektrowni wielki niepokój i zaczęto go szukać. W poszukiwaniach brał również udział z latarką w ręku morderca i ani na chwilę nie odstępował zrozpaczonej żony inż. Skrzywana, — która również brała udział w poszukiwaniach. Hopf asystował p. Skrzywanowej do godziny 3-ej nad ranem z piątku na sobotę, pocieszając ją, że prawdopodobnie mąż się znajdzie.

Po odejściu znajomych inż. Skrzywana udała się na spoczynek. Około godziny wpół do szóstej nad ranem obudziła się pod wpływem strasznego snu. Śniło jej się mianowicie, że męża jej elektrotechnik Hopf po gwałtownej sprzeczce rzucił do przepaści. Wkrótce też potem zwłoki inż. Skrzywana znaleziono w kanale na terenie elektrowni.

Wiadomość o wykryciu sprawcy zbrodni, oraz ujawnienie jej powodów wywołała wszędzie olbrzymie wrażenie. Oburzenie jest powszechne.

W poniedziałek odbędzie się sekcja zwłok zamordowanego, której dokona komisja sądowo-lekarska w obecności sędziego śledczego.

Rozpacz rodziny zamordowanego, który osierocił dwoje małoletnich dzieci nie ma granic. Pogrzeb zamordowanego inżyniera odbędzie się najprawdopodobniej we wtorek w godzinach przedpołudniowych.

W jaki sposób dokonano zabójstwa

ś. p. inż. Skrzywana

W poniedziałek rano odbyła się w kostnicy szpitala brackiego w Katowicach **sekcja zwłok zamordowanego inż. Michała Skrzywana**, który poniósł śmierć z ręki swego podwładnego Kopfa, elektrotechnika elektrowni „Św. Jerzy“ w Nikiszowcu, pod Katowicami. Sekcję przeprowadził lekarz miejski dr. Kołoczek z Katowic, w obecności sędziego śledczego Zdankiewicza, prokuratora i policji. Lekarz stwierdził, że zabójca Kopf strzelił do swej ofiary z rewolweru z tyłu, i to z bardzo bliska. Kula przebiła tylną część czaszki, przeszła przez mózg i utkwiała w przedniej części czaszki, wywołując natychmiastową śmierć inżyniera. **Na głowie zabitego lekarz zauważył kilka ran, pochodzących od ostrego narzędzia**, jednak do tej pory nie udało się z pewnością stwierdzić, kto je zadał. Nie jest wykluczone, że powstały one wtedy, kiedy zabójca włókł swą ofiarę po podłodze a następnie wrzucił ją do kanału.

Szczegółowe dochodzenia policji ustaliły, że zabójstwo miało miejsce w **komorze elektrowni**, w której znajduje się motor zapędowy, wytwarzający wielki hałas. W tych warunkach **strzału rewolwerowego nie mogli słyszeć pracownicy**, zatrudnieni w innych halach elektrowni, w których panuje nie mniejszy turkot motorów.

Kurtkę, kapelusz i rękawiczki zamordowanego inżyniera znaleziono w chłodni, do której morderca je wrzucił.

Władysława Gonsiora, oskarżonego przez Kopfa o współudział w zbrodni, przesłuchał w poniedziałek sędzia śledczy przy Sądzie Okręgowym w Katowicach. Gonsior nie przyznał się zupełnie do winy. Osadzono go jednak mimo tego w areszcie śledczym w Katowicach. (X)

*

*

*

We wtorek rano odbyła się eksportacja zwłok tragicznie zmarłego ś. p. inż. Michała Skrzywana z kostnicy Lecznicy Brackiej w Katowicach przy ul. Francuskiej do Krakowa. Na smutną uroczystość przybyła rodzina zmarłego, dyrekcja Spółki Akcyjnej „Giesche“, członkowie Polskiego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników, do którego należał Zmarły, przedstawiciele innych organizacji, oraz wielu kolegów.

Pogrzeb odbędzie się w dniu dzisiejszym w Krakowie, gdzie na cmentarzu rakowickim zwłoki ś. p. inż. Skrzywana złożone będą do grobowca rodzinnego na wieczny spoczynek. (x).

Pogrzeb śp. inż. Michała Skrzywana

w Krakowie

W czwartek odbył się w Krakowie o godz. 4 po południu pogrzeb śp. inż. Michała Skrzywana, kierownika Elektrowni „Jerzy” w Nikiszowcu, w powiecie katowickim, który zginął w dniu 29 stycznia w Janowie na Śląsku, zamordowany skrytobójczo przez elektrotechnika, Edwarda Kopfa. W pogrzebie poza rodziną i krewnymi, kolegami i przyjaciółmi śp. Zmarłego, wzięły udział delegacje ze Śląska, reprezentujące towarzyszy pracy ś. p. Michała Skrzywana.

Trumnę ze zwłokami odprowadził z kaplicy cmentarnej do grobu na starym cmentarzu, ksiądz Staich, kapelan cmentarny w otoczeniu licznego duchowieństwa. Przed trumną niesiono liczne wieńce. Nad grobem wygłoszono 4 przemówienia. Pierwszy przemawiał Tadeusz Skrzywan, redaktor „Przeglądu Bezpieczeństw Pracy”, inżynier elektrotechnik imieniem najbliższych przyjaciół Zmarłego, żegnając go również w imieniu różnych stowarzyszeń zawodowych, których śp. Skrzywan był członkiem. Drugie przemówienie wygłosił inż. Kaleta, który złożył hołd pamięci zmarłego w imieniu zarządu „Giesche”, po nim zaś przemówił inżynier Wagner z Gdyni, kolega studiów politechnicznych, oraz inż. Drewnowski w imieniu Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Woj. Śląskiego.

Tabliczka z nazwiskiem Michała Skrzywana widnieje na ścianie pamięci przy kościele świętej Anny w Janowie. Wszyscy członkowie stowarzyszenia Razem dla Nikiszowca uznali, że ta śmierć, na równi z ofiarami górniczych wypadków i katastrof, nie może zostać zapomniana. Ważne jest przecież, aby pozostać w pamięci tych, dla których tak wiele się w życiu uczyniło.

ZAKOŃCZENIE

Wiosną 2012 roku razem z przyjacielem, Jerzym Handermanderem, podjęliśmy decyzję: Święta Wielkanocne spędzamy w Kałuszu, w gościnnym domu ciotecznej siostry Jerzego, Cesi. Ja przecież nie sfinalizowałem spraw związanych z rodzinnym grobowcem, a mój przyjaciel już od kilku lat nie odwiedzał miejsca, w którym spędził dzieciństwo.

Tym razem postanowiłem wybrać się w podróż samochodem. To przecież najlepszy sposób, by poznać miejscowości w pobliżu Kałusza, także Wojniłów, gdzie zginęła siostra mojego ojca, Janka.

Spełnienie wszystkich planów i zamiarów ułatwili mi oczywiście kałuscy przyjaciele. Okazało się bowiem, że bratanek Cesi, Żenia, postanowił podjąć się renowacji grobowca należącego do mojej rodziny, przywrócić go do stanu i postaci z czasów jego świetności. Ustaliliśmy szczegóły, a wstępna kalkulacja kosztów okazała się tak przystępna, że z góry proponowałem wykonawcy premię po remoncie, który miał się zakończyć latem. Oczywiście sfinansowanie przedsięwzięcia wiązało się z koniecznością podjęcia ponownej podróży za wschodnią granicę. Zauroczony Kresami, ich

historią i kulturą, wybrałem się tam ochoczo, jednak tym razem nie zamierzałem zмагаć się ze stanem ukraińskich dróg. Skorzystałem z oferty pielgrzymkowej, o której usłyszałem w Radiu Katowice, w niedzielnej audycji pani redaktor Danuty Skalskiej „Lwowska Fala”. Ta kolejna, wspaniała podróż tak podsycała moją rozbudzoną chęć poznania ziem moich przodków, iż po miesiącu wyruszyłem ponownie na wschód.

Odrestaurowany grobowiec prezentował się imponująco. Żenia otrzymał obiecaną premię.

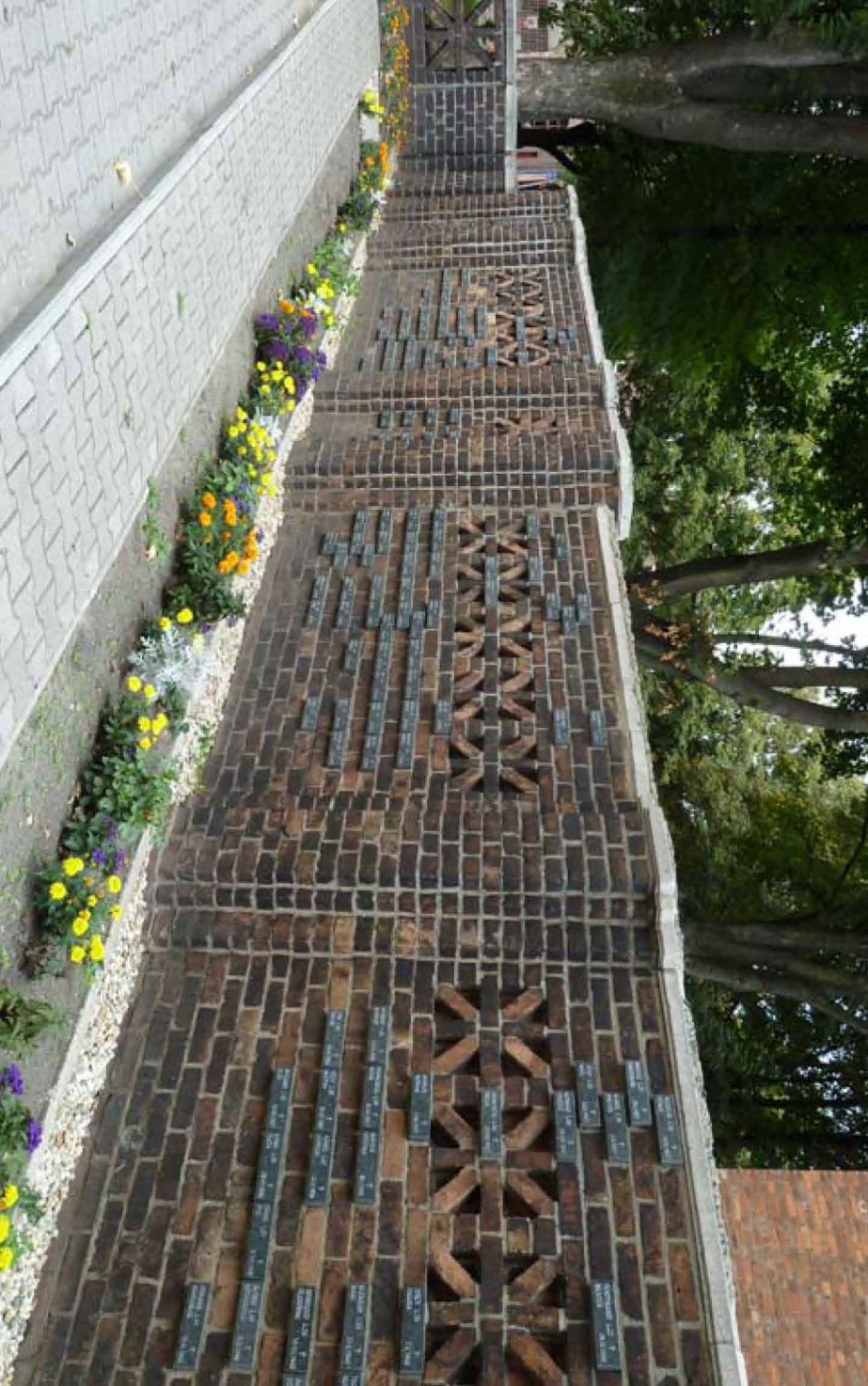
WYKORZYSTANE ŹRÓDŁA

Cichy Leszek, Gałuszka Bernard, *Kopalnia Wieczorek: 1826–1985*, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1985.

Polonia, 1937, nr:

- z 31.01.1937, nr 4417
 - z 01.02.1937, nr 4418
 - z 02.02.1937, nr 4419
 - z 03.02.1937, nr 4420
 - z 04.02.1937, nr 4421
 - z 05.02.1937, nr 4422
 - z 22.02.1937, nr 4439
 - z 22.07.1937, nr 4585
 - z 23.07.1937, nr 4586
- } zamieszczona w tekście
- } pozostałe artykuły dot. inż. M. Skrzywana dostępne w sieci

Przegląd Elektrotechniczny, 1937, nr 4



Ryszard Karol Springer – żeglarz, pletwonurek, podróżnik. Urodził się w 1943 roku w Kielcach. W 1948 roku władze zmusiły jego ojca do zmiany nazwiska, grożąc odebraniem udziału w przedsiębiorstwach, których był współwłaścicielem. Od tej pory cała rodzina Springerów używała nazwiska Skoczyński, co ostatecznie i tak nie uchroniło jej przed konfiskatą mienia w 1950 roku, będącą wynikiem ówczesnej ustawy o nacjonalizacji przemysłu. Ryszard Springer od 2007 roku ponownie używa nazwiska rodzowego.

Od 1945 roku związana jest z Katowicami, gdzie ukończył Akademię Wychowania Fizycznego, był wieloletnim kierownikiem akademickiego klubu pletwonurków DORSAL, pracował jako nauczyciel. Współorganizator i inicjator wielu wypraw nurkowych i żeglarskich, nadal propaguje swoje pasje i szerokie zainteresowania. Jest autorem książki „Skazany za niewinność”, dramatycznych wspomnień z greckiego więzienia, oraz „Kotwicy” – pełnej pasji podróżniczo-żeglarskiej gawędy.



Rzadko oglądamy się za siebie w czasach, kiedy codzienność coraz bardziej nas poganiamy, a wczoraj ginie w zalewie nowego, tego, co właśnie dzieje się dzisiaj. Autor tej gawędy zabiera czytelnika w przeszłość. Jest to przeszłość jego własnej rodziny rekonstruowana w oparciu o wspomnienia oraz przekaz dwóch wcześniejszych pokoleń. Książka niespodziewanie staje się przewodnikiem, który w zaskakująco prosty sposób pokazuje, jak czytać dzieje własnego rodu. Krok po kroku, od starych zapisków, wyblakłych zdjęć aż do podróży na cmentarz, odkrycia grobu, wreszcie wypełnienia niepisanego testamentu tych, którzy już odeszli, a także podjętych przez siebie zobowiązań. Autor uczy szacunku do przeszłości, jednak nie tej pojętej ogólnie jako coś abstrakcyjnego, lecz do konkretnych ludzi, gdyż to oni w tej opowieści są najważniejsi. Nakreślone tu obrazy postaci utkane zostały z całego wachlarza wartości i zachowań, które dzisiejszym czytelnikom mogą wydawać się anachroniczne. Nie będą one jednak niczym dziwnym dla rówieśników autora, zwłaszcza tych, których korzenie sięgają do czasów innych granic i innych systemów politycznych.

Barbara Kincer-Górnicka

ISBN: 978-83-7593-209-6

Cena detaliczna: 19 zł